

Gazeta Samorządność

GAZETA BEZPŁATNA NR 51 WRZESIEŃ 2020 ISSN 2299-7008 www.mws.org.pl

MAZOWIECKA
WSPÓLNOTA SAMORZĄDOWA



1980

40 rocznica powstania **NSZZ Solidarność**



MAZOWIECKA
WSPÓLNOTA SAMORZĄDOWA



Wspólnie budujemy Mazowsze

DOŁĄCZ DO NAS!

Stowarzyszenie Mazowiecka Wspólnota Samorządowa powstało w 2001 roku i od tego czasu nieprzerwanie działa i gromadzi liczne grono działaczy samorządowych i sympatyków, zaangażowanych w rozwój samorządnej Rzeczypospolitej.

Członkami i sympatykami MWS są w dużej części radni wszystkich szczebli samorządu lokalnego gminnego, powiatowego, a od wyborów w 2018r. mamy również swojego przedstawiciela w sejmiku mazowieckim. Wielu działaczy Wspólnoty Samorządowej pełni z wyboru mieszkańców ważne funkcje wójtów, burmistrzów, starostów oraz uczestniczy w kierowniczych strukturach rad gminnych i powiatowych. Członkowie MWS to także przedstawiciele różnych grup zawodowych, m.in. przedsiębiorcy, lekarze, nauczyciele, rolnicy.

Zrzeszamy szerokie grono osób które chcą aktywnie działać na rzecz swoich „małych ojczyzn”, a jednocześnie chcą zachować swoją niezależność i nie wiązać się z żadną z partii politycznych. Bezpartyjny samorząd, którego przed-



stawicielami są osoby nieunikane w partyjne spory jest jednym z naszych głównych celów.

Działamy na rzecz rozwoju idei samorządności i zasad demokracji w życiu społecznym. Prowadzimy działalność na rzecz edukacji patriotycznej i obywatelskiej. Przestrzeganie zasad etyki i przejrzystość w służbie publicznej to podstawowa zasada którą kierujemy się w swojej działalności.

Zapraszamy do współpracy:
- bezpartyjnych samorządowców z całego województwa mazowieckiego,

- ekspertów z różnych dziedzin którzy przy wsparciu MWS chcieliby nagłaśniać proponowane przez siebie zmiany, np. w reformie oświaty, służby zdrowia, transportu, ekologii,
- przedsiębiorców - do działającego przy MWS Klubu gospodarczego,
- dziennikarzy - do współtworzenia portalu MWS oraz gazety Samorządność,
- wszystkich mieszkańców województwa, którzy chcą działać lokalnie dla swoich „małych ojczyzn” miejskich, gminnych czy powiatowych.

MWS.ORG.PL / BIURO@MWS.ORG.PL /
[FB @MAZOWIECKAWSPOLNOTA](https://www.facebook.com/MAZOWIECKAWSPOLNOTA)

Drodzy Czytelnicy!

Rozpoczynamy drugą „50” wydań Samorządność. 51 numer gazety w dużej mierze poświęcamy wspomnieniom wydarzeń roku 1980, kiedy to rodziła się Solidarność w naszym kraju. Nie zabraknie również dyskusji wokół tematu podziału województwa mazowieckiego.

Zapraszam do lektury wywiadów, wspomnień Solidarnościowych z Lechem Wałęsą, Mariuszem Ambroziakiem, Jerzym Karwelisem, Witoldem Siewicem, Zbigniewem Bujakiem, Zbigniewem Janasem, Gabrielem Janowskim, Janem Litwiskim, Pawłem Goralakiem.

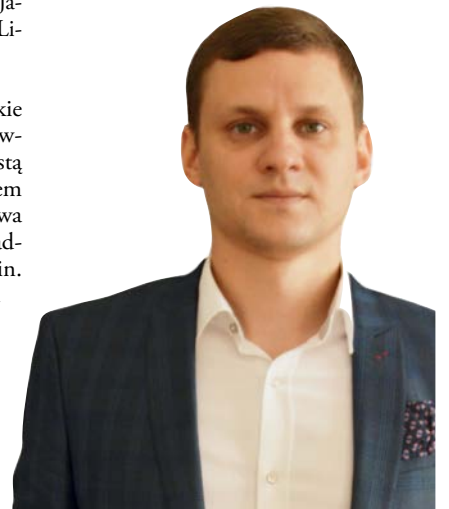
Na stronie 12 znajdziecie krótkie wywiady ze starostą powiatu przuszkowskiego Krzysztofem Rymużą, starostą powiatu legionowskiego Sylwestrem Sokolnickim oraz burmistrzem Piastowa Grzegorzem Szuplewskim. Doświadczonych samorządowców pytamy m.in. o sytuację związaną z koronawirusem w ich samorządach, o stanowisko wobec pomysłu podziału województwa mazowieckiego.

Gorąca prośba również do czytelników Samorządności o zapoznanie się z artykułem z 15 strony „Niezwyczajna historia zdeterminowa-

nej matki i dzielnego chłopca” i wsparcie leczenia syna naszej koleżanki z MWS.

Zapraszam do współtworzenia gazety oraz zachęcam do wsparcia kolejnych wydań poprzez wykupienie reklamy. Kontakt: p.dabrowski@mpgmedia.pl

Życzę zdrowia
PAWEŁ DĄBROWSKI
REDAKTOR NACZELNY



MWS i Bezpartyjni Samorządowcy złożyli wniosek o referendum w sprawie podziału Mazowsza

Mazowiecka Wspólnota Samorządowa powołała na początku sierpnia Komitet Referendalny Bezpartyjni Samorządowcy, który zebrał podpisy mieszkańców województwa pod inicjatywą referendalną. Dzisiaj został złożony formalny wniosek o zorganizowanie referendum w sprawie podziału województwa mazowieckiego forsonowany przez ostatnie lata przez Prawo i Sprawiedliwość.

- Nasze stanowisko w tej sprawie jest niezmiennie. Jesteśmy przeciwni podziałowi, a zwłaszcza, kiedy w tej sprawie nie pyta się o zdanie mieszkańców naszego województwa. Dlatego domagamy się referendum i złożyliśmy formalny wniosek do sejmiku o jego przeprowadzenie – powiedział Konrad Rytel przewodniczący Komitetu Referendalnego, radny sejmiku i prezes MWS

W skład komitetu Bezpartyjnych Samorządowców weszli znani i doświadczeni samorządowcy. Są w nim między innymi:

Konrad Rytel radny sejmiku i prezes MWS, Mariusz Ambroziak były Poseł RP, wiceprzewodniczący MWS; Paweł Dąbrowski wiceprzewodniczący MWS; Dariusz Kacprzak zastępca burmistrza Pragi Północ; Paweł Kłobukowski wiceprzewodniczący MWS; Barbara Laszczkowska radna dzielnicy Ochota; Wojciech Matiasiak zastępca burmistrza Śródmieścia; Józef Melak przewodniczący rady dzielnicy Rembertów, Dorota Stegienka radna dzielnicy



Ochota, Jacek Wachowicz wiceprzewodniczący rady dzielnicy Parga Północ; Dariusz Wolke zastępca burmistrza Pragi Północ; Grzegorz Wysocki były zastępca burmistrza Ochoty, wiceprzewodniczący MWS;

- Zgodnie z art. 89a ustawy z dnia 5 czerwca 1998 r. o samorządzie województwa, mieszkańcom województwa przysługuje prawo występowania do sejmiku tego

województwa z obywatelską inicjatywą uchwałodawczą. Inicjatywa taka przysługuje grupie co najmniej 1000 osób posiadających czynne prawa wyborcze do sejmiku. Dlatego postanowiliśmy złożyć taką inicjatywę i oczekujemy, że sejmik przyjmie uchwałę zarządzającą referendum w tak istotnej sprawie, jaką jest podział naszego województwa - twierdzi Wojciech Matiasiak jeden z pełnomocników Komitetu Bezpartyjnych Samorządowców.

Inicjatorzy referendum uważają, że jego przeprowadzenie powinno nastąpić niezależnie od tego, czy są lub będą prowadzone prace legislacyjne w tym kierunku.

- Od lat najpoważniejsi politycy w naszym kraju wygłaszają poglądy na ten temat i zapowiadając zmiany ustawowe w tym zakresie. Wszystko to dzieje się ponad głowami tych, którzy są podmiotem

tych zmian czyli mieszkańców. Niezależnie od tego co zrobi w najbliższych miesiącach większość parlamentarna, chcemy aby swój pogląd na ten temat wyrazili mieszkańcy. Dlatego nasza inicjatywa ma charakter obywatelski wpięany podpisami mieszkańców. - powiedział Grzegorz Wysocki pełnomocnik Komitetu.

ŹRÓDŁO: PORTAL WARSZAWA I OKOLICE / WIO.WAW.PL

Gazeta Samorządność

Samorządność Gazeta Mazowieckiej Wspólnoty Samorządowej
Redaktor Naczelny Paweł Dąbrowski
p.dabrowski@mpgmedia.pl
Wydawca: MPGMedia
ul. Cyprijska 2G,
02-761 Warszawa
tel. 22 119 15 69

Biuro MWS
ul. Koszykowa 24 lok. 12
00-553 Warszawa
biuro@mws.org.pl
www.mws.org.pl

Druk: Polska Press Sp. z o.o.,
Oddział Poligrafia, Drukarnia w Sosnowcu

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych i nie gwarantuje ich publikacji. Zastrzegamy sobie prawodokonywania skrótnów i korekty językowej. Za informacje zawarte w reklamach redakcja nie odpowiada.

Przesłanie gen. Mieczysława Boruty – Spiechowicza do Ludzi Solidarności

To się zdarzyło 27 września 1981r., w ósmym dniu I Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ Solidarność w Gdańsku – Oliwie, drugim dniu jego II tury. Przed rozpoczęciem obrad tego dnia odbyła się msza święta, w czasie której kazanie wygłosił ks. Józef Tischner. Msza z kazaniem poświęconym nauce Jana Pawła II na temat etyki Solidarności (włączonym do oficjalnych dokumentów zjazdu) tworzy duchowy nastrój do tego, co ma się zdarzyć w dalszym ciągu. Jako gość zjazdu Solidarności pojawia się gen. Mieczysław Boruta-Spiechowicz. Występuje w mundurze generalskim Brygady Podhalańskiej, tym samym, w którym brał udział w bitwie pod Przemyślem, we wrześniu 1939r. Uczestnicy obrad witają go owacyjnymi oklaskami. Kiedy gen. Boruta-Spiechowicz wszedł na mównicę na salę obrad wprowadzony został poczet sztandarowy ze sztandarem Krajowej Komisji Kombatantów. Generał Boruta – Spiechowicz powiedział delegatom Solidarności tak:

„Drodzy Rodacy, Ojczyzna w potrzebie, ale nie w niebezpieczeństwie. Nie dajmy się zastraszyć, bo strach jest złym doradcą, a Polska.... Polska bardzo potrzebuje rad dobrych!!! Co czyni żołnierz, gdy Ojczyzna go wzywa?... Co też on czyni? – Poświęca swe życie!!!. A co robi człowiek cywilny, cywil, kiedy Ojczyzna żyje w pokoju, lecz w wielkiej niedoli? Cywil nie ginie dla Ojczyzny lecz dla niej żyje. Jako najstarszy generał II Rzeczypospolitej Polskiej, wiernie żyjący nad Wisłą, wzywam Was drodzy przyjaciele w imię miłości, a nie nienawi-

ści, uczcie się żyć pospół z myślą o Polsce i tylko o Polsce, a Polska obfitości stanie się Rzeczpospolitą, matką nas wszystkich. Bądźcie solidarni w dobrym, mądrym i szlachetnym. Solidarni w złym są naszym przeciwnostwem. To oni doprowadzili Polskę najpierw do moralnego, a potem do materialnego upadku. Solidarni w dobrym, mądrym i szlachetnym, do Was to państwo mówię, podajcie sobie czyste, braterskie dłonie, by razem przebudować zrujnowaną Ojczyznę. Ale pamiętajmy, pamiętajmy jednak, że nawet w najgorszym człowieku tkwi odrobina, odrobina prawdy, przyjmijmy ją więc do banku solidarności. Polska żyje w pokoju lecz w wielkiej niedoli. Jako żołnierz trzech wojen, dwóch obozów niemieckich, siedmiu więzień sowieckich, a w tym także miesięcznej ciemnicy pod basztą Kaczubieja na Butyrkach życzę Wam moim udręczonym sercem mądrości w jakże ważnych obradach nad ratowaniem Rzeczypospolitej Polskiej wszystkich Polaków, życzę Wam wielkoduszności w ocenie zła i o niebo więcej szczęścia na waszej drodze życia niż to było naszym żołnierskim udziałem. Ojczyzna... Ojczyzna nas potrzebuje, żyć bez Ojczyzny nie sposób. Dlatego „Bóg Honor i Ojczyzna” jest naszym prawdziwym całego narodu sztandarem. Temu sztandarowi pozostaniemy wierni po kres naszego życia. Wzywam Was w imię miłości wszystkich do wszystkich, bądźcie solidarni w dobrym, mądrym i szlachetnym, solidarni na co dzień. Bądźcie odważni w poszukiwaniu prawdy, a dobry Bóg stokrotnie Wam to wynagrodzi. Jak nigdy dotąd potrzebna nam wszystkim jest jedność. Pamiętajmy, że prawda jest jedna, a kłamstw tysiące. Prawda jednoczy w prawdzie, kłamstwo dzieli pozostając na zawsze kłamstwem. Szukajmy prawdy, bo ona nigdy nas nie zawiedzie. Prawda i tylko prawda wyzwoli nas z udręki, poniżenia i głodu. Przyleciałem tu na skrzydłach polskiego LOTu, przyleciałem spod samiuskich Tater, nie tylko po to, by solidarnym, dobrym dopomóc, ale nade wszystko by u kresu moich dni zrobić w Waszym jakże zaszczytnym towarzystwie krok ku szlachetnej i lepszej przyszłości, w którą niezłomnie wierzę, tak jak wierzę w rację i siłę młodości. Pamiętajcie drodzy przyjaciele, kłamstwo jest stare jak świat, prawda jest wiecznie młoda. Bądźcie żołnierzami prawdy, a ja jestem przekonany, że na pewno... na pewno – zwyciężycie. Jako stary żołnierz trzech wojen, siedmiu więzień i dwóch obozów niemieckich, z których uciekłem, całym sercem jako żołnierz jestem i pozostanę z Wami tu Państwo wszystkimi.

Odpowiedzią zebranych na słowa generała było odśpiewane na stojąco „Sto lat”.1

Treści wystąpienia gen. Mieczysława Boruty – Spiechowicza na I WZD NSZZ Solidarność nie trzeba, a może nawet nie wolno, owijać w bawełnę komentarzy, omówień, dygresji i komentarzy. Warto te słowa pozostawić same sobie. Warto o nich pamiętać i przypominać co jakiś czas. Dziś jest bardzo dobry czas na takie przypomnienie.

ZBIGNIEW JACEK JACKIEWICZ



Wybór Karola Wojtyły na pierwszego papieża z Polski i jego pielgrzymka do ojczystego kraju w oczywisty sposób przyczyniły się do powstania Solidarności. W latach 1980-81 polski Kościół mediował jak mógł, potem wstawiał się za represjonowanymi i dawał schronienie opozycyjnym artystom. Zaś w latach 1988-89 wpłynął na pokojowe rozwiązanie kryzysu a postawa proboszczów pomogła kandydatom Komitetu Obywatelskiego wygrać wybory czerwcowe w tych województwach, w których nie przetrwały inne niezależne struktury.

Ekipa Edwarda Gierka rządząca Polską w latach 1970-80 nie prowadziła już otwartej wojny z Kościołem katolickim. Ostra konfrontacja duchowieństwa z władzą przypadała na czasy wcześniejsze; w latach 1953-56 internowany był prymas Stefan Wyszyński, za rządów Władysława Gomułki rządzący rozpętali kampanię w której zaatakowali biskupów za ich pojednawczy list do niemieckiego Episkopatu („Przebaczamy i prosimy o wybaczenie”), masowo powoływano do wojska kleryków (wśród dotkniętych tą represją znalazł się m.in. młody seminarzysta Jerzy Popiełuszko). Również Milenium Kościół i władza świętowały każde po swojemu - jako tysiąclecie chrztu Polski lub w świeckiej formule „tysiąclecie państwa polskiego”. Za Gierka kurs zmienił się na nieco łagodniejszy, władza forsowała stopniową laicyzację, biurokratycznie ograniczała możliwość wznoszenia nowych świątyń, limitowała nakłady prasy katolickiej. Frontalnego starcia jednak unikała. Gierk liczył się też z opinią Zachodu, skąd brał kredyty.

Wybór kardynała Karola Wojtyły na Stolicę Piotrową 16 października 1978 r. stanowił dla ogółu Polaków wielkie zaskoczenie i radość, nieobcą również niewierzącym. Dotychczasowe sukcesy - jak odbudowa Zamku Królewskiego, otwarcie Trasy Łazienkowskiej a nawet trzecie miejsce piłkarzy na Mistrzostwach Świata władza przypisywała sobie jako dobrego gospodarzowi, raz inkrustując te uzasadnienia ideą patriotyczną, kiedy indziej nowo-mową marksistowsko-leninowską. Tym razem powód do dumy miała Polska od PZPR niezależna. W trakcie czerwcowej pielgrzymki do Ojczyzny Jan Paweł II wypowiedział pamiętne słowa na warszawskim - nomen omen - placu Zwycięstwa: „Niech zstąpi Duch Twój. Niech zstąpi Duch Twój. I odnowi oblicze ziemi. Tej ziemi”. Wizyta Papieża stała się dla milionów Polaków okazją do wspólnych wzruszeń i szerokiego spotkania.

Kościół wobec Sierpnia

W sierpniu 1980 r. prasa zachodnia, również na okładkach popularnych i opiniotwórczych tygodników (jak „Time”) umieszczała zdjęcia klęczących w trakcie modlitwy uczestników strajków. Światowe media eksponowały symbole religijne i portret Ojca Św. na bramie Stoczni Gdańskiej. Opinia publiczna wolnych krajów rychło oswoiła się z faktem, że w zakładach pracy odbywają się msze, a strajkujący mają swoich kapłanów.

W mszy świętej w Stoczni Gdańskiej wciąż noszącej imię Lenina w niedzielę 24 sierpnia 1980 r. uczestniczyło 4 tys stoczniovców, jak szacował w raporcie komendant miejski Milicji Obywatelskiej w Gdańsku, z pewnością nieskory do zawyżania tego typu danych. Kardynał Stefan Wyszyński oddelegował do protestującej stoczni grupę ekspertów z Romualdem Kukołowiczem na czele.

Jednym z 21 postulatów gdańskiego Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego stało się zgłoszone przez Bogdaną Borusewiczą żądanie radiowej transmisji niedzielnej mszy św, spełnione po podpisaniu porozumień.

Biskup gdański Lech Kaczmarek poparł robotników już w trzecim dniu ich protestu w rozmowie z wojewodą. Wyznaczył też proboszcza ze Św. Brygidy ks. Henryka Jankowskiego na duszpasterza stoczniovców. Dla ich kolegów z Gdyni msze odprowadzał ks. Hilary Jastak.

Zabiegający o rozwiązanie polskich problemów bez przelewu krwi i pamiętający o doświadczeniu grudnia 1970 r. na Wybrzeżu prymas Stefan Wyszyński w trakcie strajków 26 sierpnia wygłosił na Jasnej Górze homilię, z której przekaz został manipulowany przez władze w telewizji państwowej. W istocie kardynał apelował o zachowanie pokoju społecznego.

Wcześniej Prymas spotkał się w Klarysewie z I sekretarzem KC PZPR Edwardem Gierkiem, którego wypyttywał o zagrożenie interwencją radziecką. Uzyskał odpowiedź, że rozmówca nie jest w stanie jej wykluczyć.

Przywódca strajku a potem Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność” Lech Wałęsa miał ze sobą różaniec a w klapie marynarki Matkę Boską.

Solidarność cieszyła się w świecie ogromną sympatią, a znana formuła z 1980 r. głosiła, że zagraniczna prawica popiera ją ze względu na jej katolicyzm, zaś lewica dlatego, że to związek zawodowy. Wokół Polski zaciskał się jednak pierścień obcych wojsk, a Armia Radziecka szykowała się do wyjścia z baz położonych w naszym kraju. W tych okolicznościach doszło do dramatycznej rozmowy Zbigniewa Brzezińskiego, doradcy prezydenta Stanów Zjednoczonych demokracji Jimmy’ego Cartera do spraw bezpieczeństwa narodowego z rodakiem z Watykanu.

Biografowie Jana Pawła II relacjonują, że „w pierwszym tygodniu grudnia 1980 r. Brzeziński zatelefonował do Papieża i ostrzegł go przed możliwością natychmiastowej inwazji sowieckiej na Polskę. W rozmowie, prowadzonej po polsku, Brzeziński poinformował o koncentracji wojsk radzieckich nad wschodnią granicą (...). Jeśli zajdzie potrzeba szybko go skontaktowania się z Waszą Świątobliwością, jak mam dzwonić? - pytał. Brzeziński usłyszał, jak Papież pyta kogoś o numer telefonu” [1]. Dziś wiemy, że wiadomości te pochodziły od płk. Ryszarda Kuklińskiego.

Polski Kościół stanowczo opowiadał się za prawem robotników, a także rolników do tworzenia związków zawodowych i skutecznie mediował zwłaszcza w tej drugiej sprawie. Zgodę na legalizację „Solidarności RI” w znacznej mierze wymogli na władzy hierarchowie, wzmacniając postulaty chłopskich strajków. W 1981 r. Jan Paweł II ogłosił encyklikę „Laborem exercens”, poświęconą godności pracy i powszechnie łączoną ze społecznym doświadczeniem dziesięciomilionowego ruchu Solidarności.

Ciężką próbą dla Polaków okazał się maj 1981. Po rzymskim zamachu na Jana Pawła II, dokonanym przez Mehmeta Ali Ağcę powszechnie i tłumnie modlono się o powrót Papieża do zdrowia. Niemal w tym samym czasie odszedł na zawsze wiekowy już i chory kardynał Stefan Wyszyński.

Nowym prymasem został Józef Glemp, krytykowany początkowo za domniemany brak charyzmy cechującej wielkiego poprzednika, nawet w środowiskach katolickich. Okazało się jednak, że właśnie następca Prymasa Tysiąclecia wykaże się talentami negocjacyjnymi oraz mediacyjnymi i przeprowadzi polski Kościół przez czas najtrudniejszej od wojny próby. Wierni jakby to przeculi, masowo uczestnicząc w ingresie Glempa, hierarchy - dodajmy - wówczas prawie nieznanego szerszej opinii publicznej.

Aż do momentu wprowadzenia przez władze stanu wojennego trwały spotkania ostatniej szansy, z udziałem prymasa Glempa jako pośrednika oraz I sekretarza KC PZPR premiera Wojciecha Jaruzelskiego i przewodniczącego NSZZ „Solidarność” Lecha Wałęsy. Nie zapobiegły jednak wariantowi siłowemu z 13 grudnia 1981 r. Gdy już do konfrontacji doszło - Kościół na masową skalę zajął się pomocą represjonowanym, rozdzielał też dary, płynące z wolnego świata w ramach akcji charytatywnych na rzecz gwałtownie zubożałej w kryzysie Polski.

Symbolem stał się ks. Jerzy Popiełuszko, którego kazania w żoliborskim kościele św. Stanisława Kostki gromadziły tłumy, bo upominał się o prawa i godność człowieka. Gdy w październiku 1984 r. został zamordowany przez funkcjonariuszy komunistycznej służby bezpieczeństwa, jego pogrzeb zamienił się w największą patriotyczną manifestację tamtych lat. Władze aresztowały sprawców zabójstwa i osądziły ich w procesie toruńskim (1985 r.), co stanowiło pierwszy taki casus w całym bloku komunistycznym. Zbrodniczy czyn oficjalnie uznano za prowokację wymierzoną w ekipę gen. Jaruzelskiego i jej domniemane reformatorskie intencje.

Dla utrzymania ducha w trudnych czasach represji pierwszorzędne znaczenie miały kolejne pielgrzymki papieskie. Podczas najtrudniejszej z nich w 1983 r. Jan Paweł II spotkał się z Lechem Wałęsą w Dolinie Chochołowskiej, co zniweczyło kurs władz, zmierzających wtedy do uznania przewodniczącego zdelegalizowanej Solidarności za „osobę prywatną”, jak określał przyszłego pokojowego noblistę rzecznik rządu PRL Jerzy Urban.

W trakcie kolejnej wizyty, w 1987 r. Papież na Westerplatte wypowiedział pamiętne słowa adresowane do młodzieży, które uznano później za jeden z najbardziej optymistycznych jego przekazów: „Każdy z was ma swoje Westerplatte”. Na co dzień pracę for-

macyjną wśród młodzieży od dawna prowadzili charyzmatyczni duszpasterze akademicki: Ludwik Wiśniewski z Lublina i Hubert Czuma z Radomia.

Zagraniczni biografowie, w tym życzliwi Papieżowi i kompetentni Carl Bernstein (wcześniej demaskator afery Watergate w USA) i watykanista Marco Politi wskazywali na rozdźwięk między podejściem Jana Pawła II i kardynała Glempa do władz komunistycznych, pierwszemu z nich przypisując postawę twardą, drugiemu ugodową. Z perspektywy lat dostrzec jednak można, że obie strategie najwyższych hierarchów doskonale się uzupełniały. Papieżowi przypisać można skuteczne przestrzeżenie radzieckich przywódców przed następstwami zbrojnej interwencji w Polsce, prymasowi zaś - zapewnienie Kościołowi polskiemu swobody działania, jaką nie cieszył się nigdy od 1939 r. Rozkwitły katolickie instytucje, edukacja, wydawnictwa i kultura, czego symbolem stała się myśl o. Jacka Salija czy ks. Józefa Tischnera, prestiż „Znaku”, „Więzi”, „Tygodnika Powszechnego”, przechodzących wprawdzie przez cenzurę ale godnie uzupełniających wolną prasę czy intelektualna rola Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego oraz warszawskiej Akademii Teologii Katolickiej. Polska stała się w tym czasie liderem w liczbie powołań kapłańskich i akcesów do zakonów.

Przez całe lata 80 Kościół - co stanowiło wyjątek w skali świata - otworzył swoje katedry dla niezależnych artystów, nie tylko kierujących się inspiracją katolicką. Na dziedzińcu kościelnym na Żytniej w Warszawie elitarny i awangardowy, prześladowany przez władze Teatr Ōsmego Dnia zagrał w 1984 r. swój spektakl w obecności tysiąca widzów. Zakazane w kinach filmy można było obejrzeć w Klubach Inteligencji Katolickiej, gdzie opozycyjnie nastawieni studenci wraz z patriotycznymi kombatantami wspólnie podziwiali „Błasany bębenek” Volkera Schloendorffa i „Przesłuchanie” Ryszarda Bugajskiego.

Gdy wybuchły kolejne fale strajków, w maju i sierpniu 1988 r. Kościół podjął się kolejnej, tym razem całkowicie już skutecznej mediacji. Dzięki pośrednictwu hierarchów doszło 31 sierpnia 1988 r. do historycznego spotkania Lecha Wałęsy z ministrem spraw wewnętrznych gen. Czesławem Kiszczakiem. Utorowało ono drogę do rozmów Okrągłego Stołu i ponownej legalizacji Solidarności a w konsekwencji - do częściowo demokratycznych wyborów z 4 czerwca 1989 r. i całkowicie wolnych do Senatu. Dla ich wyniku znów postawa Kościoła okazała się rozstrzygająca. Liderzy PZPR liczyli się z porażką w wielkich ośrodkach przemysłowych, ale spodziewali się, że wynik nadrobią w małych tzw. zielonych województwach, gdzie przeważała ludność wiejska a struktury opozycji często nie przetrwały. Tymczasem w przeważającej mierze za sprawą proboszczów, którzy nie taili swojej sympatii dla Solidarności właśnie tam rozmiary jej zwycięstwa okazały się najbardziej imponujące, co w ciągu kilku miesięcy doprowadziło do zmiany władzy w kraju. Kościół odegrał swoją wielką rolę w przeprowadzeniu Polski przez najtrudniejszy czas i swoją misję wypełnił do końca.

[1] Carl Bernstein, Marco Politi. Jego Świątobliwość Jan Paweł II i nieznana historia naszych czasów. Wyd. Amber 1997, s. 212-213

„Nie ma wolności bez Solidarności!” - fragmenty rozmowy z Lechem Wałęsą

(rozmowę przeprowadził 12 grudnia 2019 roku w Europejskim Centrum Solidarności w Gdańsku, Mirosław Lewandowski, który jest też autorem słów dodanych w nawiasach kwadratowych;)

- Panie Prezydencie. Interesuje nas okres po 13 Grudnia. Okres pana internowania to jest świetny okres w pana życiu, choć niedoceniany...

- Proponuję, by pan tak oberwał.

- Żebym ja tak posiedział? Nie chciałbym!

- A pan mówi, że to jest rewelacyjny okres mojego życia!

- Mówię o pana postawie.

- Ano tak. Dziękuję!

[...]

„3 stycznia 1982 roku [ks. Orszulik] wręczył Lechowi Wałęsie list od mecenasa Siły-Nowickiego”1. Rozumiem, że bezpieka ten list przepuściła. Przecież nie przeniósł tego pod sutanną...

- Może i tak. I co w tym dziwnego? Nie pamiętam.

- Chciałbym zapytać pana Prezydenta o relacje między panem a Siłą-Nowickim.

- Nie potrzebowałem żadnych mecenasów, żadnych doradców, bo powiedziałem: „Nie ma wolności bez Solidarności!”. Inne argumenty do mnie nie docierały. Dopowiedziałem: „Możecie mnie zabić, ale nie pokonać!”. Dziękuję!
- Wiem, że pan Prezydent zajmował takie stanowisko, ale jednak Siła-Nowicki wysłał do pana listy, w których dawał panu wskazówki...

- Nie potrzebowałem żadnych wskazówek. Grałem sam tę partię. Oczywiście, słuchałem ludzi mądrych, ale tylko coś tam sobie uzupełniałem. To, co mi mówili mądrego, to przyjmowałem i traktowałem, jak swoje. A resztę wyrzucałem. Ponieważ większość mi nie pasowała, więc prawie wszystko wyrzucałem.

Lech Wałęsa wykonuje gest targania kartki.

- A czy pan Prezydent analizował, w co gra Siła-Nowicki?

- Nie! Panie mnie to... Walczyłem nie z ludźmi, tylko z systemem. A ludziom, w tym generałom i pułkownikom bezpieki mówiłem: „Jesteście fajni ludzie! Tylko macie cholerny system! Gdybyście żyli w innym systemie, to byście chodzili do kościoła, dzieci byście chrzcili, mielibyście większe zarobki... Dlatego zmienmy ten system!”. Tak mniej więcej postępowałem w mojej walce. Dlatego ja wygrywałem. Bo inni walczyli z pułkownikami, z kapralami. Po cholere! mi taka walka?

- „18 lipca 1982 roku książdz Orszulik przekazuje Lechowi Wałęsie 9-stronicowe opracowanie pana W.”2. Kto to był „pan W.”? Czy to był Andrzej Wielowieyski?

- Prawdopodobnie. Już mówiłem panu, co robiłem z tymi opracowaniami.

Lech Wałęsa ponownie wykonuje gest targania kartki.

- Pan w ogóle tego nie analizował?!

- Nie. Bo dla mnie nie było wolności bez Solidarności. Wszystko inne mnie nie interesowało.

[...]

- Mazowiecki z Geremkiem byli internowani. Siedzieli rok w internacie. Tymczasem Wielowieyski, Chrzanowski, Olszewski byli na wolności. Książdz Orszulik przychodził do pana Prezydenta i mówił, żeby pan się skłonił raczej ku Wielowieyskiemu, Chrzanowskiemu i Olszewskiemu3. Czy pan może to dziś potwierdzić?

- Mówili mi: „Nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki”. A ja mówiłem: „Nikt nie wchodzi, a Wałęsa wejdzie”. Jasne? „Nie ma wolności bez Solidarności!”. Amen. Tak kończyłem wszelkie tego typu rozważania.

- Czy rzeczywiście była wtedy tego typu sytuacja, że Mazowiecki z Geremkiem byli twardsi, niż tamci?

- To mnie guzik obchodziło! Patrzyłem na całość i kombinowałem. Walczyłem z systemem i wykorzystywałem ludzi, potrzebnych mi w danym momencie. Popelniałem błąd, bo przez to wielu ludzi źle potraktowałem. Ale

grałem o zmianę systemu.

[...]

- Na przełomie lat 1983 i 1984 została podjęta próba wypchnięcia z kraju „jedenastki” (siedmiu przywódców Solidarności i 4 korowców). Na pewno pan Prezydent pamięta: Gwiazda, Jaworski, Jurczyk, Modzelewski, Pałka, Rozpłochowski, Rulewski oraz Kuroń, Michnik, Romaszewski, Wujec. Podjęła się tego „komisja dobrych usług” złożona z ludzi związanych z Kościołem, w tym książdz Orszulik, arcybiskup Bronisław Dąbrowski i wymienieni przez mnie doradcy: Chrzanowski, Olszewski, Wielowieyski4...

- Ale proszę o pytanie!

- Teraz pytanie. Czy pan Prezydent o tej próbie wypchnięcia z kraju „jedenastki” wiedział?

- I wiedziałem, i mnie to nie obchodziło. Dlatego, że wiedziałem, że kto chce walczyć, tego nie kupią, a ktokolwiek zwątpił, to nie był mi przydatny. Amen.

- Czy Kościół pytał pana o zdanie w tej sprawie?

- Mnie to w ogóle nie obchodziło. Dawałem każdemu rozgrywanie samemu podobnych partii. Ale żadne prośenie, wyciąganie, pomoc. To nie w tej walce. Tak się nie walczy!

- To byli bardzo ważni ludzie!

- Co to był za ważny człowiek, jak zwątpił i miał ochotę wyjechać? To dla mnie taki już się nie liczył. Byłem zdeklarowany w stu procentach do walki i żadne pieniądze, żadne strachy mnie nie brały. I na takich ludzi stawiałem.

- Czy pan wiedział, że oni w większości się zgodzili na wyjazd? Jeden Michnik, który ich uratował (może Jurczyk jeszcze).

- Ludzie są różni. Różnie się zachowują. Niektórzy bohatersko, a inni zdradzili, wyjechali, albo mieli ochotę wyjechać. Każdy indywidualnie rozwiązuje problemy. A to, co mówimy, to są pozory.

- Pan stał z boku, gdy sprawa ich wyjazdu się żarzyła?

- To była męska walka. W tej walce każdy musiał być zdeklarowany. A każdy, kto nie był, miał wątpliwości, temu dziękowałem. Taki byłem.

[...]

- A czy mógłby pan, panie Prezydencie, coś opowiedzieć o tej pielgrzymce w 1987 roku? O czym papież z panem rozmawiał w cztery oczy?

- Wszystkie nasze rozmowy były nietypowe, dlatego, że mimo wszystko byliśmy z tej samej gleby. Oczywiście Ojciec Święty wysoko, ja nisko, ale mimo wszystko byliśmy tak samo wychowani, przekonani do tych samych wartości. Porozumiewaliśmy się bez słów, na mrużącando. On wiedział wszystko, co ja zrobię, ja wiedziałem, co papież zrobi. To jest to samo wychowanie. W związku z tym każdy robił swoje. Nikt nikogo nie zachęcał, nie pytał, bo ja bez słów wiedziałem, co papież robi i on wiedział, co ja zrobię. Spotkania były jednak potrzebne, bo zaraz publika by mówiła: „Już się pokłócili! Już nie chcą z nim rozmawiać! Już on nie chce rozmawiać!”. W związku z tym musiały być spotkania. Byłem nawet zdegrustowany, bo wiedziałem, że wielu ludzi bardziej zasługuje na spotkanie z papieżem. Ja nie miałem takiej potrzeby. Bardzo się cieszyłem, szanowałem go, tylko że my nie rozmawialiśmy o tych sprawach, o których inni by rozmawiali, bo nie potrzebowaliśmy takich rozmów.

- Chce pan powiedzieć, że rozmawialiście o niczym? Że to były rozmowy zdawkowe?

- Rozmowa nasza tak wyglądała. Jak on mnie przyjmował, to mnie witał, opowiadał i patrzył, jak ja siedzę. Jeżeli zaczynałem się poprawiać, to kończył. Wtedy ja przejmowałem inicjatywę, mówiłem to, co uważałem, że trzeba powiedzieć i patrzyłem, jak Ojciec Święty się zachowuje.



Jak się poprawiał, to znaczy - „Muszę kończyć!”. I wtedy znowu on zaczynał coś opowiadać, bo z tego, co ja mówiłem, wyciągał wnioski, które mu były potrzebne. Mniej więcej tak dziwnie wyglądały nasze rozmowy. To były rozmowy między ludźmi, którzy się rozumieją bez słów.

[...]

- Panie Prezydencie, a czemu władze zgodziły się na pana rozmowę z Miodowiczem?

- Bo myśleli, że mnie ta rozmowa politycznie zrukuje.

- Z perspektywy czasu widać, że ta rozmowa przesądziła o tym, że ruszyły na poważnie przygotowania do okrągłego stołu. Rakowski o tym wspomina w swoich dziennikach, wszyscy to później przyznawali.

- Bo mnie pomagały niebiosy. Nie jestem nawiedzony, ale twierdzę, że miałem pomoc z niebios!

- Wajda pana też trochę przygotowywał do tej rozmowy.

Krzysztof Puszc - Nikt Lecha nie przygotowywał. Myśmy byli we dwóch od początku do końca!

- Parę rzeczy tam wylałem z tych dobrych rad. Ktoś mi powiedział, żebym powiedział - „Dzień dobry” na początku rozmowy. Nie pamiętam nawet kto. Pomyślałem - „To mi się przyda”. Wylałem parę rzeczy, ale minimalnie.

- Nagranie tej rozmowy jest w Internecie, ja to parę razy uważnie przesłuchałem i pan Prezydent wtedy nie był sobą. Był pan bardzo ostrożny...

- Bo byłem chory i nie byłem w stanie. Jeszcze wziąłem takie lekarstwo, które mnie... Bo gdybym był w normalnej formie, to bym go tam chyba zabił...

- Chwała Bogu!

- No widzi pan - niebiosy!

- Jaki to był rodzaj choroby - grypa, serce?

- Przeziębienie. Ale byłem padnięty. Ledwo usiedziałem. Gdybym był zdrowy, to bym Miodowicza zabił, sprokowałbym go.

- Miał pan jakiś scenariusz na tę rozmowę, czy to było całkowicie spontanicznie?

- Ja gram na cudzych błędach. Wylałem szybko jego błędy i robiłem z tego użytek.

- Wrażenie było takie, że pan był bardzo dobrze przygotowany i że miał pan scenariusz na tę rozmowę.

Krzysztof Puszc: Próbowali tam, Geremek, inni, ale Lechu nie przyjmował nic i robił swoje.

Najbardziej chyba Wajda się przyznawał...

- Nie. „Dzień dobry” było kogoś innego.

Krzysztof Puszc: To było Andrzeja Bobera.

- Ale, przyzna pan panie Prezydencie (tu trochę ryzykuję), że niekiedy takie spontaniczne zachowanie pana gubiło. Na przykład w debacie telewizyjnej z Kwaśniewskim w 1995 roku...

- Tak, los mi to dał. Gdybym znów został Prezydentem, to pan by dzisiaj ze mną nie rozmawiał. Byłem tak wypalony przez tę walkę, że następnych pięciu lat na takich obrotach to bym nie przeżył. Dlatego los mnie uratował.

- Los nie chciał drugiej kadencji prezydenckiej Lecha Wałęsy!

- Tak. Dokładnie tak.

[...]

- Czytałem notatki z posiedzeń Prezydium OKP. Oni się zbierali i zastanawiali, co robi Wałęsa, bo mieli informacje, że ma powstać jakiś rząd, że Wałęsa (poprzez Jarosława Kaczyńskiego) prowadzi rozmowy z ZSL i SD, a oni nic nie wiedzą.

- Chciałem w tamtym momencie rozbić tamtą koalicję, żeby te 65% im zniszczyć. Dlatego chciałem wyrwać tych dwóch [chodzi o dwa tzw. „stronnictwa sojusznice”, czyli o ZSL i SD]. Jaruzelski miał prosty chwyt - „Walczyliście o demokrację? Fajnie. A więc większość powinna mieć premiera? To jest demokracja!”. Więc ja mu wyrwałem tych dwóch [ZSL i SD], on stracił większość i wtedy ja mówię: „Mam większość, generale? Więc to my mamy premiera!”. Takie rzeczy grałem! Cały mój dramat polegał na tym, że ja w tamtym czasie nie mogłem powiedzieć, w co ja gram.

- Ale to, że pan „wpuścił” w pewnym momencie Kiszczaka i ten „biedny Kiszczak” myślał, że będzie Prezydentem... Był taki moment?

- Chciałem ich pokłócić!

- Pan ich chciał pokłócić, czy tak samo wyszło?

- Nie, nie. Wiedziałem, że się nie zgodzę na Kiszczaka, jak przyjdzie czas. Ale na razie ich wystawiam, żeby się pokłócili, żeby jeden i drugi chciał być prezydentem.

- Był taki moment, że Jaruzelski chciał zrezygnować, przyszli we dwójkę z Kiszczakiem na posiedzenie klubu OKP...

- Po to była moja zagrywka!

- Kiszczak się nie dał... Do końca był lojalny wobec Jaruzelskiego.

- Jaruzelski mu [potem] przyznał prawo robienia rządu. Tylko ja go zablokowałem!

- Bo pan go dwa razy wystawił do wiatru. Raz pan go wystawił, łudząc go, że może być prezydentem, a drugi raz, kiedy został premierem. Został mianowany na premiera, ale rządu nie stworzył, bo pan się dogadał z ZSL i SD.

- „Dziel i rządź” - taką stosowałem zasadę. Ale to mogło być tylko na krótką metę. Na dłuższą metę, to przecież ja bym się nie zgodził [tak grać].

- Pan by stracił u nich wiarygodność.

- I na tym sztuka polegała. Brzydzę się tego, ale tak było.

Krzysztof Puszc: Polityka...

... to okropna rzecz.

ZDJĘCIE: STRAJK SIERPNIOWY W STOCZNI GDAŃSKIEJ, AUTOR GIEDYMIN JABŁOŃSKI, ŹRÓDŁO: WIKIMEDIA CREATIVE COMMONS

Wywiad jaki przeprowadził z Lechem Wałęsą Mirosław Lewandowski świetnie by się nadał....., ale na inną okoliczność niż 40 rocznica powstania Solidarności, może na kolejną rocznicę urodzin rozmówcy, albo rocznicę osobistych, politycznych sukcesów Lecha Wałęsy. Z treści tego wywiadu możemy przekonać się raz jeszcze, że Lech Wałęsa może nam wszystkim dużo powiedzieć o samym sobie ... i zgoła nic o Solidarności.

40 rocznica powstania Solidarności to czas celebrowania historii i kultury Solidarności, a ta nie polega na megalomańskim egoizmie i usilnym powtarzaniu: rządziłem, dzieliłem, nikt mi nie był potrzebny jako

Komentarz do wywiadu z Lechem Wałęsą

doradca, a Papież? , Papież też nie.... bo rozumieliśmy się z nim bez słów, z racji takiego samego wychowania(????!).

Historia Solidarności naznaczona jest fenomenem spontanicznego społecznego współdziałania na taką skalę, która okazała się decydująca o upadku PRL-u, i która otworzyła drogę do budowy wolnej Rzeczypospolitej Polskiej. Mówiąc w największym skrócie, siłą polskiego sierpnia 1980r. nie jest to co zdarzyło się w stoczni w Gdańsku, czy jakimkolwiek innym

miejscu, ale to co zadziało się jednocześnie w Świdniku, Gdańsku, Jastrzębiu Zdroju, Szczecinie, Warszawie, Poznaniu, Wrocławiu, Ursusie...., w całej Polsce. To ta siła dyktowała dalszy bieg zdarzeń. Po 13 grudnia 1981r., siłą przeciwdziałającą zniewoleniu Polaków przez komunistów był masowy opór społeczny, nie do poskromienia dla autorytarnej władzy. Zorganizowane zostało i funkcjonowało do końca lat osiemdziesiątych XX wieku, kolejne w historii Polski „państwo pod-

ziemne”, „alternatywne społeczeństwo”. W budowie „ polskiego podziemnego państwa” największe zasługi mają liderzy Solidarności z lokalnych społeczności, a nie ci najlepiej znani z mediów. Ta siła Solidarności zaważyła na wynikach wyborów 4 czerwca 1989r., Solidarność wygrała te wybory pokazując znów 10-milionowe poparcie społeczne, Solidarność wygrała te wybory wbrew komunistom i wbrew ustaleniom tzw. okrągłego stołu.

Kultura Solidarności do tradycy-

nych wartości narodowych: Bóg – Honor – Ojczyzna dodaje troskę o bliźnich, bliskich, członków tej samej wspólnoty. Wymaga respektowania zasad: godnego uczestnictwa i słusznej zapłaty. Jest czuła na niesprawiedliwości i wszystkie formy społecznego zniewolenia. Radzi sobie nie najgorzej z rozróżnianiem elit rycerskich i pasożytniczych.

Życzę Wszystkim radosnego świętowania 40 rocznicy powstania Solidarności, świętowania wszystkiego tego, co ważne dla historii i kultury Solidarności, a zarazem eleganckiego omijania tego, co nieważne.

ZBIGNIEW JACEK JACKIEWICZ

Młoda Solidarność

Z Mariuszem Ambroziakiem współorganizatorem strajków w Ursusie w maju i sierpniu 1988 r. rozmawia Łukasz Perzyna

- Do NSZZ „Solidarność” w latach 1980-81 należało dziesięć milionów Polaków. Jednak dopiero młoda Solidarność ta druga, nie tak masowa utworzona przez nowe roczniki, Pan urodził się w 1969 – zrealizowała cel tej pierwszej: dojście do wolności, demokracji i niepodległości. Kiedy nabrał Pan takiego poczucia, że to od Waszego pokolenia wszystko zależy?

- Pojawiało się stopniowo, w trakcie strajków w Ursusie w 1988 r. Z pewnością nie działało się to w ten sposób, że w jednej chwili uległem oślnieniu. Raczej stopniowo, krok po kroku, wraz z innymi dochodziłem do przeświadczenia, o które Pan pyta. Natomiast poczucie, że wszystko może się udać, że nie ma barier, których nie dałoby się przełamać opanowało nas dopiero po wyborach z 4 czerwca 1989 r. Jeśli pyta Pan o pierwszą Solidarność, to oczywiście jej legenda miała na nas ogromny wpływ. Sam byłem jeszcze w szkole podstawowej, ale pozostawałem pod jej urokiem. Zaś pierwsze wrażenie, że dzieje się coś ważnego, wiązało się z pielgrzymką Jana Pawła II, bo dziesięciolatkiwki udzielały się nastroje starszych.

- Do Ursusa trafił Pan już po stanie wojennym. Ale ważną rolę przypisuje Pan wydarzeniom, które miały miejsce, gdy Pan chodził do podstawówki?

- W Ursusie pracował mój starszy brat Sławomir. Dlatego nigdy nie była to dla mnie po prostu jedna z wielu fabryk. Tylko ważne z rodzinnej perspektywy miejsce. Zanim jednak nastąpiło lato 1980 r., przeżywałem wraz z innymi pierwszą pielgrzymkę Jana Pawła II. W szkole w Iłowie oglądaliśmy transmisję, jak Papież wysiada z samolotu. Dla dziesięciolatki,

któremu udzielały się emocje starszych, w tradycyjnej wiejskiej społeczności było to ważne wydarzenie, komentowane dosłownie w każdej chałupie. Miało szeroki patriotyczny wymiar. Podobnie jak wcześniej wspomnienia bliskich i sąsiadów dotyczące II wojny światowej, nie było przecież rodziny, która nie poniosłaby strat. Dziadek, który przed wojną zdążył odbyć służbę wojskową w pułku szwoleżerów, został podczas okupacji skatowany przez Niemców w więzieniu w Płocku. Do domu wrócił, ale do zdrowia już nigdy, pozostał schorowanym wrakiem, zmarł wkrótce po sześćdziesiątce.

- Solidarność również odbierał Pan na początku w rodzinnym kontekście, za sprawą brata?

- Sławek od sierpnia 1979 r. pracował w Ursusie, gdy wszystko się zaczęło, przywoził ulotki i gazetki. Chłonałem to wszystko, przeglądałem, pochlebiało mi trochę, że akurat na ten temat brat rozmawia z jedenastolatkiem jak z dorosłym. W szkole dużo o tym rozmawialiśmy. Bawiliśmy się również w strajk, ktoś z nas był Lechem Wałęsą. Pamiętam „Człowieka z żelaza” Andrzeja Wajdy, oglądanego z wielkim przejęciem w Iłowie. Później w różnym gronie staraliśmy się odtwarzać ówczesne klimaty, dyskusję na 30-lecie Solidarności zorganizował Marcin Ryński, jej zapis znajduje się na stronie eSochaczew.pl.

- O Solidarności z Ursusa opowiadał Panu brat, wspomagając się bibułą, gazetkami, ale na wsi powstawała zielona Solidarność Rolników Indywidualnych?

- Z 1981 r. zapamiętałem uroczystość poświęcenia jej sztandaru, pod-

niosłą ale też zupełnie odmienną od akademii w szkole, które dotychczas znaliśmy. Rolniczą Solidarność na naszym terenie zakładali starsi o kilkanaście lat koledzy i sąsiedzi, Andrzej Ciołkowski i Marian Połubok oraz Leszek Bluszcz, Henryk Wargocki i Ryszard Marciniak. Później doszedł Bohdan Rybicki, z którym podobnie jak z Ciołkowskim mam przyjemność współpracować do dzisiaj. Mieszkałem wtedy z rodzicami 3,5 kilometra od Iłowa w Stegnie, ojciec prowadził gospodarstwo. Mam dwóch braci: Piotra, który prowadzi gospodarstwo i produkuje opał ekologiczny oraz Sławka, który wtedy jako pracownik Zakładów Mechanicznych w Ursusie był dla mnie głównym źródłem informacji o wydarzeniach – oraz dwie siostry: Gosia została zakonnicą, karmelitanką, a Kasia prowadzi sklep w Iłowie. Miałem więc z kim rozmawiać o sytuacji, ale też o kogo się martwić, gdy się pogorszyła.

- 13 grudnia 1981 r. na wsi przyjęto pewnie inaczej niż w mieście, choćby z powodu braku większej liczby telefonów, wtedy zaraz odciętych?

- Jak w każdą niedzielę udawało się do Iłowa do kościoła. Wszyscy już wiedzieli. Gdy wróciłem – ojciec akurat zarządził świnioobicie. Wiedział, że trzeba w tej sytuacji zadbać o zabezpieczenie podstawowych środków do życia. A potem słuchało się Radia Wolnej Europy, Głosu Ameryki, BBC. Posłaliśmy z ojcem do sąsiada, który miał lepsze radio, a strasznie wtedy zagłuszano, ale bardziej chodziło o to, że rażniej słucha się polskich rozgłośni w kilka osób, od razu wszystko komentując.



- Co jeszcze dało się zapamiętać z pierwszych dni stanu wojennego w małej miejscowości?

- Drogami na Płock, Sochaczew i Wyszogród ciągnął ciężki sprzęt, czołgi i transportery opancerzone. Dziś wiemy, że to była demonstracja siły. Ale wtedy nie zdawaliśmy sobie sprawy, czy gdzieś nie toczą się walki i ten sprzęt nie zostanie użyty. Naprawdę część tego stanowił złom, pamiętający drugą wojnę światową, wyciągnięto to wszystko na drogi, by złamać morale społeczeństwa, odwieść ludzi od oporu. Zima była sroga, co tworzyło dodatkową atmosferę grozy. Mało tego, na przełomie 1981 i 1982 r. na tych terenach zdarzyła się akurat katastrofalna powódź. Największe straty poniesiono w Dobrzykowie,

zalało dolną część Płocka. Powódź zimowa to piekło. Nasz teren też był zagrożony. Wzdłuż drogi ułożono worki z piaskiem, całymi kilometrami. W mojej szkole podstawowej wygospodarowano miejsce dla przesiedleńców z najmocniej poszkodowanych terenów. Na boisku, gdzie zwykle graliśmy w piłkę, teraz lądował helikopter. W końcu również my, jako dzieciaki z zagrożonych obszarów wywiezieni zostaliśmy do wsi Poręba koło Mszany Dolnej, w Beskidach. Wszyscy o nas dbali, ale połączenie tych doświadczeń oznaczało już trwałe pożegnanie z dzieciństwem, a byłem wtedy dopiero w szóstej klasie. Ukształtowało się we mnie przekonanie, że... życie jest ciężkie.

To już czterdzieści lat. Szybko zleciało

Sierpień '80 zastał mnie – 19-latką wtedy - na wakacyjnych balangach w rodzinnym mieście, Wrocławiu. Kumple mieli wolne chaty, bo rodzice na wakacjach i można było poimprezować. Jedziliśmy na zajezdnię powspierać strajkujących a jedynym aktem protestu było rzucanie kapslami w łamistrajków, którzy kosili trawę podczas gdy cała Polsk stała. Jako początkujący student miałem inne zajęcia i dopiero w marcu 1981 stałem się na strajk generalny do wrocławskiego Dolmela... do pracy. Solidarność przyjęła mnie na technika do związkowego radia. To był szok na głęboką wodę.

Było ostro – strajk okupacyjny wszystkich wrocławskich zakładów, ścisła kontrola, spanie na podłodze i praca 24/7. Zobaczyłem wtedy prawdziwą Solidarność w działaniu. Wrocław był społecznym fenomenem, który zaowocował później w stanie wojennym podziemną Festung Breslau. Wszyscy przecież byli przyjezdni, nie było więc zasadniczo kast i różnic społecznych. Wzorcowy przykład współpracy ośrodków naukowych, intelektualistów i robotniczych braci. W dodatku ten gen Ziem Odzyskanych, gdzie można było po wojnie schować swój nieprawomyślny życiorys przed galopującą komuną. Pamiętam jak wtedy w marcu szykowaliśmy się, że wejdą Ruscy. Było sporo gęsiej skórki i jak Wałęsa ogłosił ustami Gwiazdy, że zwijamy majdan, to

wszystkim jednak użył.

W stanie wojennym aresztowano mnie w pracy, gdy w nocy z 12 na 13 grudnia przygotowywałem audycję rocznicową o Stoczni Gdańskiej z 1970 roku. Historia zatoczyła znowu małe kółko i zwinęli mnie z siedziby dolnośląskiego RKS-u wprost na komendę. Tam stanąłem w kilkudziesięciometrowej kolejce par ubek-przyszyły internowany i wszedłem w drzwi, gdzie dostawało się decyzję o internowaniu, drzwi, w które się wchodziło, ale już wychodziło się innymi – do aresztu. Potem prawie pół roku internowania i pierwsze grypsy „z wolności”, że chłopaki coś robią i żeby wracać. Zorganizowaliśmy wtedy z przyszłym ministrem zdrowia rządu Mazowieckiego, Władkiem Sidorowiczem z sąsiedniej celi – psychiatrą – mój atak samobójczy i za dwa tygodnie byłem na wolności.

Dostałem zadanie zorganizowanie podziemnego radia. Ale, nauczony z więzienia historiami przybywających tam ofiar wpadek nieudolnej konspiracji, postawiłem swoje warunki. Nie chciałem wracać za kratki, więc postanowiłem zrobić to po swojemu. Żadnych kontaktów z podziemiem, strukturę zorganizuję sam. I wziąłem... wszystkich kumpli z podwórka. Dla nich decyzja o przystąpieniu do podziemia była oczywistością. Znaliśmy się jak łyse konie i

nie było mowy, że dostanę jakiegoś szpiega. I poszło. Potem już tylko super współpraca z ekipą z wrocławskiej Polibudy, która robiła nadajniki. Myśmy robili audycje, nagrywali i osobna ekipa z podwórka roztawiała nadajniki. Tak dotrwaliśmy do 1983 roku, gdy po rozbiciu podziemnej trójki dolnośląskiego podziemia (Frasyniuk-Bednarz-Piniór) przeszliśmy na samofinansowanie. Zmieniliśmy też taktykę i przeszliśmy na megafony. Dzięki temu mogliśmy robić miejskie wydarzenia w realu, bo audycje w eterze trzymały ludzi w domach i nie wiedzieli ilu ich jest. Na ulicy widzieli, że nie są sami.

Potem już nawet to odpuściliśmy i zaczął się okres nie tylko naszego zniechęcenia. Paru kumpli wyjechało na emigrację i każdy coś tam dłużał po swojemu. Jeśli w ogóle. Wróciłem do działalności w 1988 roku jako naczelny największej gazety podziemia – wrocławskiego „Z dnia na dzień”. Tu też zaproponowaliśmy nowe podejście – podziemnego związku zawodowego, którym już coraz bardziej dysydenta ogólnopolska Solidarność już przestała być. Mieliśmy we Wrocławiu wysyp podziemnych struktur: czteropiętrową organizację dolnośląskiej Solidarności (zakładowa-dzielnicza-miejska i regionalna), każda z własną gazetą, własny system kolportażu i zbierania składek – jedynego źródła finansowania działalności,

struktury środowiskowe od studentów do podstawówki, gazety branżowe i cztery stacje radiowe. Było co robić, zaś postawienie polityki Solidarności znowu na związkowe nogi dało prawdziwe rezultaty – ludzie zobaczyli, że komunizm ich bezpowrotnie pauperyzuje, co przyniosło, moim zdaniem, lepsze rezultaty niż bogoojczyźniane zaśpiewy czy geopolityczne dywagacje kawiarnianych dysydentów.

Potem przyszedł Okrągły Stół. Dla mnie wydarzenie traumatyczne, bo... wyrzucono mnie z Solidarności. Jako były pracownik etatowy NSZZ Solidarność zwolniony w stanie wojennym z przyczyn politycznych miałem prawo wynikające z tzw. ustawy Kuronia do powrotu do pracy. Po prostu musiano mnie przyjąć. Ja chciałem tylko potwierdzić swój etat, by mieć ciągłość pracy, nie chciałem pracować w „nowej” Solidarności. Ale nawet tego nie było mi dane. Władek Frasyniuk, któremu złożyłem podanie o przywrócenie do pracy odmówił mi jego przyjęcia. Kiedy wspominałem, że musi mnie przyjąć „na Kuronia” odpowiedział mi, że wcale nie, bo ja byłem pracownikiem tej Solidarności sprzed stanowej delegalizacji, zaś składam podanie do nowego podmiotu – Solidarności zarejestrowanej po Okrągłym Stole. Tak, nie było to więc „moja” Solidarność.

Właściwie to wypada Władkowi za to podziękować, bo dzięki temu mogłem wyjechać do Stanów i próbować zarobić na mieszkanie dla rodziny, której się szczęśliwie doczekałem. Nie załapałem się więc na czas „rycerzy ostatniej godziny”, ludzi, którzy „zadeklarowali się” do Solidarności głównie w 1989 roku i poszli od razu jako kombatanCI (!) do polityki. Widziałem te wlatujące i spadające meteory. Niektóre świecą do dziś na firmamencie polskiej polityki.

Ja i wszyscy z naszej „paczki” nie dotknęliśmy się do polityki. Uważaliśmy, że to był nasz oczywisty obowiązek by się komunizm oprzeć, zaś – kiedy już padła, przynajmniej w społecznym odbiorze – to trzeba było się zająć swoim życiem, karierą, rodziną, a nie odcinać kupony od chwalebnej przeszłości w polityce, która coraz bardziej nas zniesmaczała.

Pozostał po tym etos. Etos wielkiego ruchu społecznego, rzadko spotykanej w życiu iskry przebiegającej pomiędzy ludźmi, porozumienia bez słów. Wypowiedzenia ideologicznej wojny klas i przeciwstawienie jej klas tych solidarnością. Do dziś uważam to za – bez przesady – dziejowy i światowy wkład polskiej Solidarności nie tylko w rozwalenie komunizmu, ale pokazanie ludziom ich wielkiej siły leżącej w zjednoczeniu.

Jak pisał Mickiewicz w Panu Tadeuszu: „Urodzony w niewoli, okuty w powiciu Ja tylko jedną taką wiosnę miałem w życiu”.

Koniec lat siedemdziesiątych to coraz silniejsze oddziaływanie załączków opozycji demokratycznej w Polsce. Każdy nowy rok przynosił rozszerzanie się istniejących grup opozycyjnych jak i też tworzenie się nowych. Skupiały się z reguły wokół czasopism, wydawnictw i załączków niezależnej działalności związkowej. Od 1979 roku byłem związany z redakcją ROBOTNIKA, która wspierała powstawanie niezależnego ruchu związkowego, oraz współpracowałem największym podziemnym wydawnictwem jakim była Niezależna Oficyna Wydawnicza, która przełamywała monopol państwowy na wydawanie książek i czasopism bez cenzury.

W naszym środowisku opozycyjnym czuć było, że jesteśmy przed kolejną próbą zmian w Polsce. Wydawało nam się, że za rok góra dwa dojdzie do jakiś wydarzeń, które znacząco wpłyną na naszą sytuację. Zdawaliśmy sobie, że tym motorem zmian będą przemysłowe zakłady pracy i powstawanie w nich autentycznego oddolnego ruchu związkowego.

W kwietniu 80r. odbyło się spotkanie działaczy związkowych związanych z czasopismem ROBOTNIK. Postanowiono na nim między innymi powołać kasy zapomogowe, które wspierałyby reprezentowanych pracowników. Organizację ich powierzono mojej osobie. W lipcu zaplanowałem objazd środowisk, osób związanych lub współpracujących z redakcją ROBOTNIKA i istniejącymi już Komitetami Założycielskimi Wolnych Związków Zawodowych.

Celem tej podróży, oprócz omówienia jak mają być organizowane i finansowane kasy zapomogowe, miało być nawiązanie kontaktów pomiędzy środowiskami, usprawnienie i rozszerzenie kolportażu oraz stworzenie możliwości dodatkowego dodrukowywania czasopisma ROBOTNIK w innych rejonach Polski. W sierpniu natomiast miałem brać udział w akcji rozrzucania ulotek w Pradze Czeskiej, przepraszających Czechów i Słowaków za inwazję naszych wojsk w 1968r.

Miała to być tajna akcja organizowana prze śp. Teodora Klincewicza. Ulotki miał przemyścić jeden z naszych zespołów muzycznych, a ja z nieznaną mi grupą osób, w wyznaczonych miejscach miałem rozrzucić ulotki i później przez granicę z NRD ewakuować się do Polski. Bieg wydarzeń potoczył się jednak inaczej.

Na wyprawę udałem się z Wojtkiem Frąckiewiczem, który z niezależnego ruchu studenckiego dołączył do współpracowników ROBOTNIKA. Na początku

TO, O CZYM SIĘ SŁYSZY, W KOŃCU NADCHODZI - ALE NIGDY O ZAPOWIEDZIANYM CZASIE.

Wspomnienia młodego działacza opozycyjnego z wydarzeń lipcowo-sierpniowych 1980.r

ruszyliśmy autostopem i już na Okęciu zatrzymali nas funkcjonariusze SB przeprowadzając rewizję naszych bagaży. Ale byliśmy czysti. Gdy dotarliśmy do Radomia w Polsce rozpoczęła się pierwsza tura strajków. Powodem była ogłoszona od pierwszego lipca 1980r podwyżka cen mięsa i wędlin. Strajkowały załogi WSK PZL-Mielec, „Ursus” w Ursusie, „Autosan” w Sanoku, „Ponar” w Tarnowie, Zakładach Metalurgicznych „Pomet” w Poznaniu. Jedne strajki się kończyły, z reguły po przyznawanych podwyżkach w innych miejscach wybuchały aż rozpoczął się pierwszy powszechny strajk regionalni w województwie Lubelskim. Trwał on od 8 do 24 lipca. Strajk podjęło około 50 tys. pracowników ze 150 zakładów pracy. Protesty zakończyły się 25 lipca. Po raz pierwszy od 1944 Lublin nie był odświętnie przystrojony i nie obchodzono rocznicy Manifestu PKWN przypadający na dzień 22 lipca. Ja w tym czasie z kolegą zaliczaliśmy kolejne miasta i środowiska Radom, Skawina, Kraków, Katowice, Zabrze, Gliwice, Wrocław. We Wrocławiu postanowiliśmy się rozdzielić. Ja do Lubina, Wojtek Do Gryfina i Szczecina. Mieliliśmy się ponownie spotkać w Gdańsku. W trakcie pobytu w Lublinie zorientowałem się, że fala strajków nie gaśnie i na pewno będę bardziej potrzebny w Warszawie. Przerwałem naszą podróż i gdy wracałem do domu wybuchły strajki w Lubinie.

Ten nasz kilkunastodniowy objazd Polski oprócz wielu rzeczowych spraw, które załatwiliśmy, miał też przygodowe i miłe towarzyskie elementy. W Krakowie rozpoczęła się łapanka na opozycjonistów w tym i nas. Ukryto nas wraz z Andrzejem Mietkowskim (jednym z liderów niezależnego ruchu studenckiego) w jednej z krakowskich willi. Opiekowały się nami uroczyste studentki. Efektem tego było późniejsze małżeństwo mojego kolegi podróży a i ja zawarłem bliższą znajomość ze studentką z Lubelskiego. Trochę też strachu doświadczyliśmy, gdy na Śląsku co pewien czas urywaliśmy się śledzącym nasze ruchy funkcjonariuszom bezpieczeństwa. Po latach okazało



się, że kilka osób z którymi się spotykaliśmy i nocowaliśmy w ich domach okazały się nie tylko współpracownikami ale też etatowymi pracownikami Służby Bezpieczeństwa.

Po powrocie do Warszawy rozpoczęła się ciężka opozycyjna praca i to na okrągło przez całe dni. Udało nam się zwiększać nakład dwutygodnika ROBOTNIK z 20 tys. w czerwcu do 80 tys. pod koniec sierpnia. To był nie tylko druk, ale też dystrybucja, zbieranie wiadomości i ich redagowanie. Zapotrzebowanie na niezależne informacje było ogromne. W ramach Niezależnej Oficyny Wydawniczej spełnialiśmy funkcje usługowe dla środowisk, które planowały kolejny strajk. Czasami utrapieniem dla mnie był mój przyjaciel Marek Borowik (jeden z szefów Nowej). Wpadał do mnie w nocy, wyrwał z objęć przybyłej do mnie koleżanki z Lubelskiego i zmuszał do drukowania po nocy w konspiracyjnej drukarni kolejnych ulotek strajkowych. Rozpoczęcie historycznego strajku w połowie sierpnia w Gdańsku oprócz nadziei przyniosło także niepewność i strach, gdy 18 sierpnia władze bojąc się udziału opozycji politycznej w strajkach, rozpoczęły aresztowania aktywnych jej

działaczy. Ci co się uratowali od aresztowań zeszli do podziemia. Zaczęły dochodzić do nas także niepokojące informacje o tym, że władze szykują rozwiązania siłowe w celu pacyfikacji przede wszystkim Stoczni Gdańskiej.

W tych wspomnieniach z tamtych lat bardziej utkwiły mi w pamięci elementy humorystyczne, niż te pełne grozy. Do dziś wspominam jak Helenka Łuczywo wpada do mnie prosząc abym pojechał natychmiast do Łodzi do Józka Śreniowskiego (członka KKS KOR) i zawiózł materiały związane z powszechnym strajkiem w Trójmieście. Jego dziewczyna miała kontakty z liderami lipcowego strajku Lubelskiego. Miała im je zwieźć i nakłaniać, gdyby władze użyły siły w Gdańsku to aby oni wywołali ponownie powszechny strajk ale tym razem solidarnościowy. Nieestety odmówiłem jej, bo byłem umówiony na druk ulotek dla URSUSA. Spojrzała na mojego o 4 lata młodszego brata i powiedziała Boguś może ty pojedziesz. Zgodził się natychmiast. Został poinformowany gdzie ma się udać i ma jechać taksówką na którą dostał pieniądze. Poinformowany, ale także mocno podekscytowany, na wszelki

wypadek spuścił się przez okno a nie wyszedł przez drzwi i biegiem pognął do najbliższego postoju taxi. Szybko dotarł na miejsce ale zapomniał z sobą zabrać materiałów, które dała mu Helenka. Ostatecznie ja, w środku nocy z Markiem Borowikiem, moją sympatią z Lubelskiego, jego maluchem dowieźliśmy materiały strajkowe do Wojtki Onyszkiewicz - członka KKS KOR mieszkającego wtedy w Lublinie. Pamiętam też jak zorganizowaliśmy tajny punkt dowodzenia. Było to w wieżowcu na Stegnach przy ul. Śródziemnomorskiej i Św. Bonifacego. Nagle z okna mieszkania zauważyliśmy jeżdżący ulicami dokoła tego budynku samochód marki polonez. Przy którymś objeździe postanowiliśmy ewakuować się z tego lokalu. Myśleliśmy, że to służba bezpieczeństwa podejrzanie tu się kręci. Po ewakuacji okazało się, że to jeden z naszych kurierów w celu zorientowania się czy nie ma „ogona” jeździł w kółko. W środowisku opowiadano też jak wyciągnięto z obstawionego bloku Antoniego Macierewicza. Tam gdzie mieszkał, w kilkunastopiętrowym wieżowcu z ponad 100 mieszkaniami, schował się przed aresztowaniem w jednym z zaprzyjaźnionych mieszkań. Cały dom został obstawiony przez tajników i nie sposób było go opuścić. Antka przebrano za kobietę łącznie z makijażem. Opuścił dom bez problemów. Opowiadano, że nie tylko nie rozpoznano go, ale co niektórzy funkcjonariusze patrzyli na niego z oczami pełnymi pożądania. Wyglądał jak lepszej klasy córka Koryntu.

Ten zwariowany czas pełen niespodzianek, prób charakteru, sprawności technicznych, organizacyjnych ale też elementów wspaniałego koleżeństwa dobieg końca, gdy 31 sierpnia ogłoszono porozumienie sierpniowe. Wtedy dotarło do nas, że pewna epoka minęła. Rozpoczęła się nowa nie znana pełna nadziei i obaw. Ja zapadłem w łóżko i przez trzy dni i noce odpoczyłem moje lipcowo-sierpniowe wakacje.

WITEK SIELEWICZ ROCZNIK 1955

Rocznica powstania „Solidarności” - waszym obowiązkiem jest im pomagać!

Zbliża się czterdziesta rocznica strajków na Wybrzeżu i powstania „Solidarności”. Będą pewnie huczne obchody. Co prawda pewnie nie takie jak byśmy chcieli z uwagi na epidemię, ale na pewno przykują uwagę mediów w ostatnich dniach sierpnia. Będą wspomnienia tych, co już odeszli i tych, którzy co prawda żyją, ale bardzo często wydaje się, że Polska o nich zupełnie zapomni.

Właśnie w przededniu rocznicy znacznie ponad setka ludzi z dawnej opozycji antykomunistycznej wystosowało apel do władz państwowych w sprawie sytuacji materialnej swoich kolegów. Na liście możemy znaleźć ludzi, których dzieli prawie wszystko, ale kwestia zadbania o podstawowy byt swoich kolegów będzie ich łączyć do końca życia.

„Rzadko kiedy Polska i Polacy mogli i mogą poszczycić się odnotowanymi w historii wygranymi bataliami. Rzadko kiedy takie batalie znajdują odpowiednie uznanie w pamięci samych Polaków, w opinii i działaniach rządzących, nie mówiąc już o przełożeniu na forum międzynarodowym. A jednak mamy czym się poszczycić. I to w czasach nieodległych” – piszą w liście m.in. do prezydenta, premiera i marszałków byli opozycjoniści.

Autorzy apelu zwracają jednak uwagę, że za konsekwentnym i nieugiętym dążeniem do celu, jakim była niepodległość stali konkretni ludzie.

Jednak rewolucje łatwo zapominać o swoich bohaterach. My, którzy poświęciliśmy kiedyś swój czas, a czasem zdrowie, pracę, karierę zawodową, aby budować podstawy pod obalenie komunizmu, przeszliśmy już na renty lub emerytury, albo niebawem przejdziemy. Wśród nas są koleżanki i koledzy, często osoby schorowane, niezamożne, samotne, bez środków na życie, na opiekę medyczną, na lekarstwa, na rehabilitację. Owszem, niektórzy dostali nawet odznaczenia, ale medale, czy ordery nie nakarmią i nie wyleczą, a także nie przyniosą odpowiedniej rekompensaty za znacznie obniżone świadczenia emerytalno-rentowe.



- Kto się ma o nich upomnieć jak nie my. Jestem zdrowy, mam z czego żyć, ale jak nieraz dostaję maila od byłych kolegów, że tu trzeba pomóc, a tam coś zapłacić - to szlak mnie trafia. Naszym kolegom należy się nie tylko szacunek i pamiętać, ale realne wsparcie od Polski. - mówi sygnatariusz apelu Grzegorz Wysocki.

Auto-rzy apelu oczekują od władz naszego kraju konkretnej reakcji. Zwłaszcza że pomoc jest potrzebna teraz, a nie kiedyś - „Apelujemy może po raz pierwszy, ale na pewno po raz ostatni. Potem już nie będziemy mieli sił. A może i już nas nie będzie.”

Kiedy zniknął lęk

Ze Zbigniewem Bujakiem, pierwszym przewodniczącym Regionu Mazowsze NSZZ „Solidarność” rozmawia Łukasz Perzyna

- Kiedy podjęto decyzję, że właśnie Pan stanie na czele powstającego Regionu Mazowsze Solidarności?

- Właściwa decyzja zapadła w wyniku demokratycznych wyborów, ponieważ Solidarność od początku przestrzegała obywatelskich zasad, utworzyła się wręcz taka drabinka głosowań na kolejnych szczeblach. Na początku, gdy dopiero walczyliśmy o wolny Związek, przyszło nam podzielić się rolami, żeby skutecznie działać. Gdy w Sierpniu 1980 r. Zbigniew Janas pojechał z naszą delegacją do Stoczni - zostałem w Ursusie. Stanowiło to również efekt naszego uzgodnienia z Gdańskiem.

- Czego jeszcze te ustalenia dotyczyły?

- Gdyby tamtej niedzieli, 31 sierpnia nie zostało podpisane porozumienie - od poniedziałku stanąłby Ursus na sygnal Janasa i delegacji przebywającej w Gdańsku.

- Umowę jednak zwarto. Co robiliście dalej, wracam też do pytania o Pana przywództwo w regionie?

- 4 września do Ursusa przyjechało prawie dwudziestu przedstawicieli różnych zakładów pracy. Trzeba było wyłonić tymczasowe kierownictwo. Zostałem przez akłamację wybrany szefem rodzącej się struktury regionalnej. Zbigniew Janas stanął na czele Związku w Ursusie. Kolejne ustanowienie mnie przewodniczącym nastąpiło nieco później, podczas spotkania jeszcze w prywatnym mieszkaniu na Hożej, które pełniło wówczas rolę tymczasowej siedziby Solidarności. Na to zebranie przyjechała delegacja z Huty Warszawa z Sewerynem Jaworskim na czele. W trakcie rozmowy w cztery oczy powiedział mi: to ty zostaniesz szefem.

- Czy to wskazanie Jaworski uzasadniał?

- Nie ukrywał, że w Hucie mają kłopoty, bo część ich komitetu strajkowego utrzymywała łączność z KW PZPR. Początkowo sam stawiałem bardziej na Seweryna Jaworskiego, przecież był dużo starszy ode mnie, a strajk w Hucie okazał się duży i znany. Ale Jaworski przewidywał kłopoty. Przypomniał też, że Ursus ma większą tradycję jeszcze z 1976 r., i że teraz myśmy też pierwsi zaczęli jeszcze w lipcu. Dzięki jego postawie nie powstał w Regionie żaden większy rozłam.

- A można się go było obawiać?

- Nieco później pojawiła się w regionie grupa tzw. prawdziwych Polaków, ale to już był 1981 r. kiedy okrzepły demokratyczne struktury i sprawnie działały. Rozpad więc nas nie groził, chociaż władza chwytala się różnych metod, żeby nas podzielić. Do tej pory jestem pełen uznania dla Seweryna Jaworskiego za jego ówczesną postawę.

- Czy była ona wtedy wyjątkiem?

- Postawa, żeby każdą rzecz uzgadniać na zasadzie konsensusu - to była istota Solidarności w tamtym czasie.

- Jak to się zaczęło, kiedy poczuł się Pan przywódcą? W latach 70 przed Ursusem pracował Pan w Polsce, odbył Pan też zasadniczą służbę wojskową?

- Pracę w Polsce rzeczywiście zacząłem na początku lat 70, ale szybko stamtąd uciekłem, po siedmiu czy ośmiu miesiącach. To



Zarząd Fabryczny NSZZ „Solidarność” w ZM Ursus” oraz delegaci do Zarządu Regionu „Mazowsze”. Stoją od lewej: T. Ganc, T. Tomasiewicz, W. Kaszuba, E. Kowiecznikow, J. Kaniewski, Zb. Bujak, W. Gilewski, Zb. Janas, J. Mierkowski, St. Piecyk, W. Kieliszczuk, J. Wasilewski, M. Lewalski, M. Słowiński, A. Czerwiński, D. Grabarczyk i B. Filoda (zbiory Stanisława Piecyka).

był zakład chemiczny, ale z taką chemią, która wszystko zżerała. Nawet zęby się od niej traciło. Przyszedłem kiedyś rano do pracy, otworzyłem szafkę i w niej zamiast ubrania roboczego, które zamierzałem na siebie założyć dostrzegłem tylko jakieś strzępy, bo chemia zjadła w międzyczasie mój kombinezon. Stąd wzięła się moja decyzja o przejściu do pracy do Ursusa, bez porównania ciekawszej. Elektrociepłownia i system automatyki, to już mnie podniecało.

- Znalazł Pan jakiegos guru w działalności opozycyjnej?

- Oparciem stał się dla mnie już dom rodzinny. Ojciec był żołnierzem Armii Krajowej, instruktorem i łącznikiem w oddziałach Antoniego Hedy „Szarego”. Sznyt antyreżimowy był w domu stale obecny. Na spotkaniach rodzinnych odbywały się rozmowy, a ponieważ szwagier był w PZPR, przybierały niebawem ostry przebieg, polsaem aż do rękoczynów z nim. Już w Polsce a potem w Ursusie zetknąłem się z antysystemową atmosferą. Co innego jednak mówić swoje, wiedząc, że i tak sekretarz partii o wszystkim decyduje, a co innego swoje postulaty wyartykułować. Byłem brygadziwą bez rekomendacji partyjnej, ale na wyższych stanowiskach było o to coraz trudniej, żeby je objąć bez wsparcia PZPR. Dyrektor Elektrociepłowni wprawdzie do partii nie należał, ale już jego zastępca się zapisał. Wokół była aura kompromisów. Opozycyjna postawa brała się również z codziennej obserwacji marnotrawstwa w zakładzie: naszych materiałów, pieniędzy, pracy ludzi. Równocześnie dowiadaliśmy się, jak to funkcjonuje w świecie, gdy słuchaliśmy Radia Wolna Europa, Głosu Ameryki i BBC. Stąd brały się marzenia, jak powinno to działać u nas. Jak może wyglądać gospodarka bez tego

całego marnotrawstwa i partyjnej protekcji. Gdy dowiedziałem się, że w Ursusie są protesty, w czerwcu 1976 r. służyłem w wojsku w 6. Pomorskiej Dywizji Powietrzno-Desantowej. Poszedłem od razu do zwierzchnika po przepustkę, szczerze powiedziałem, że muszę wiedzieć, co się dzieje w moim zakładzie. Dał mi ją.

- Powstanie KOR stało się przełomem?

- Do tamtego momentu, kiedy powołano KOR, uznawałem, że środowisko inteligencji znajduje się po tej drugiej stronie barykady, co wynikało z obserwacji zachowań inżynierów i szerzej pracowników umysłowych w zakładzie. Dlatego człowiek miał poczucie bezradności i osamotnienia. Utworzenie KOR okazało się przełomem, o który Pan pyta, w tym sensie, że przekonał się, iż część inteligencji znajduje się po naszej stronie. Gdy nawiązałem z nimi kontakty, a ojciec dalej słuchał zagranicznych rozgłośni, mówiłem mu z dumą: za chwilę pokażę ci naszą opozycyjną prasę. Niestety ojciec był już bardzo chory, wkrótce zmarł, nie dożył Sierpnia. Pojawienie się KOR było dla mnie odkryciem. Zaś pierwszy kontakt z nim został nawiązany z udziałem Henryka Wujca, potem współpracowaliśmy również z Janem Lityńskim. Z jednym i drugim rozmawialiśmy o tym, co robimy w Ursusie. Najbardziej charakterystyczna okazała się rozmowa z Wujcem. Stał się dla nas najważniejszy. Spytałśmy go po prostu: - Co robić? Odpowiedział: Ja nie wiem, to wy pracujecie w Ursusie. Powiedział też: mamy pismo „Robotnik”. Opisujemy w nim, jak działają robotnicy na Śląsku i w innych ośrodkach. Ale nad pytaniem, co robić w Ursusie, wy musicie się zastanowić, bo to wy tam pracujecie. Wtedy pomyśleliśmy, że rzeczywiście na tym polega nasze zadanie. I podstawa solidarności.

- Tej przez duże i małe „s”?

- W Solidarności też później mówiło się: nie wymyślaj zadań dla innych, powiedz lepiej, co chcesz samemu zrobić.

- Pierwszym zadaniem KOR było jednak przeciwdziałanie represjom czy ściślej łagodzenie ich skutków?

- Druga ważna rzecz, której nauczył mnie Wujec wynikała z jego odpowiedzi na nasze pytanie: co zrobimy, kiedy wyrzucą nas z pracy? Henryk Wujec odpowiedział na to jasno: - Pomożemy. Mamy prawnika. Jakieś wsparcie dostaniecie. Ale nie weźmiemy was na swoje utrzymanie, bo nie mamy aż takich środków. Jak sobie w głowie ułożycie dalszy plan, co zrobicie, jeśli was wyrzucą, z czego będziecie żyli, to zniknie lęk. A wtedy inni jesteście, gdy zabieracie głos, chodźcie na zebrania. Ludzie to widzą i ich niepokój o siebie również ustępuje - tak nam doradzał.

- Czy skutecznie?

- To była druga wielka ludzka lekcja Henryka Wujca. Nie da się też pominąć roli Janka Łojaka, który jako psycholog zręcznie nas prowadził, podsuwał lektury. Pytałem go wtedy, czy możemy iść do Jacka Kuronia. On na to, że oczywiście, ale gdy tylko przekroczymy próg tamtego domu, to bezpieczeństwa potraktuje nas jak groźnego przeciwnika, bo do Kuronia chodzimy. Im później więc, tym lepiej. W końcu spotkaliśmy się z Jackiem Kuronem na głodówce w Podkowie Leśnej. Jan Łojak stał się naszym ekspertem, pomagał komunikaty komitetu redagować. Interesowaliśmy się wtedy, jak rodzą się i zyciążają systemy totalitarne, dlaczego część ludzi je popiera. Dał nam książkę, która opisuje powstający totalitarny mechanizm i strukturę, powieść Mario Vargasa Llosy

„Pantaleon i wizytantki”. Mile wspominałem również Zofię Romaszewską. Tak jak w przypadku Nowej Mirosław Chojceki brał na siebie najostrejsze ataki bezpieki, a inni robili swoje, podobnie było ze Zbigniewem Romaszewskim, na którego zwykle spadały represje, a Zofia organizowała pomoc, komisję interwencji i praworządności, która zajęła się problemami zwykłych ludzi. To już była instytucja. Za sprawą takich działań w Ursusie ludzie pozbyli się lęku. Wielkie za to ukłony należą się Zofii Romaszewskiej. Chociaż gdy po okresie podziemia odbudowaliśmy region, poszła pracować do Senatu. Gdyby mi o tym powiedziała, założylibyśmy inną komisję, to było dla mnie przykre, ale o takich rzeczach najlepiej zapomnieć. Warto za to pamiętać o tym, że w Solidarności od początku działały zespoły merytoryczne, złożone z kompetentnych ludzi, przygotowujących reformy.

- W tym Samorządną Rzeczpospolitą.

- Polski samorząd wyrasta z Solidarności, tego co wypracowała. Prof. Jerzy Regulski był jednym z pierwszych intelektualistów, którzy przyszli do regionu. Mówił, jaką rolę samorząd odgrywa w wolnym świecie. Dostał od nas wsparcie dla tworzenia zespołu, przygotowującego projekt reformy samorządowej. Pracy koncepcyjnej nie przerwali nawet w stanie wojennym. Został potem senatorem, decyzję co do tego, by go wskazać jako kandydata podjął prof. Bronisław Geremek, ale również ode mnie prof. Regulski dostał stuprocentowe poparcie. I w Senacie przygotował pakiet ustaw samorządowych. Później już w roli wiceministra wprowadzał je w życie. To jedna z nielicznych reform przygotowanych w czasach Solidarności, którą zrealizowano po latach. Warto też zwrócić uwagę na starannie udokumentowaną pracę innego gremium: Centrum Obywatelskich Inicjatyw Ustawodawczych w Krakowie, działającego od grudnia 1980 r., którego organizatorem był młody sędzia Kazimierz Barczyk. Z Warszawy uczestniczył w jego pracach sędzia Adam Strzembosz. Odpowiadał za koncepcję reformy sądownictwa. Już pod koniec lat 80 z jej losami wiąże się jednak dramatyczna historia. Kiedy Jarosław Kaczyński formował koalicję z ZSL, tamci postawili warunek, że minister sprawiedliwości musi być od nich, wskazywali Aleksandra Bentkowskiego. Twierdzili, że w innym wypadku wspólnego gabinetu nie będzie, więc im ustąpiono. Gdyby stało się inaczej, losy wielu spraw potoczyłyby się lepiej. W tym zespole pracowali i prof. Ewa Łętowska i prof. Andrzej Zoll, ale po oddaniu resortu nie miał już warunków do przeformowania wizji całościowych reform wymiaru sprawiedliwości. Dzisiaj obserwujemy konsekwencje tego zaniechania. Jeszcze innym znakomitym gremium był zespół pod kierunkiem doktora Jerzego Moskwy do spraw zarządzania i finansowania służby zdrowia. Gdy osiem lat temu byłem na stypendium w Stanach Zjednoczonych, Polak pracujący tam przy Obamacare podziwiał dawne koncepcje tamtego zespołu i zaznaczał, że im podobnych brakuje, żeby projekt się udał. W stanie wojennym zgłosili się do mnie eksperci, przygotowali pomysł powołania w Polsce przyszłej giełdy...

- Wtedy mogło się to wydać fantazją...

- Ale pracowali nad nim dalej i gdy sytuacja się zmieniła koncepcja była gotowa, a oni w tworzeniu giełdy rzeczywiście uczestniczyli. Dopiero przyszli historycy doceniali pozytywną stronę schody po Solidarności, cały ruch organicznikowski, który w niej się tworzył i budował świetne koncepcje.

FOT: Z KSIĄŻKI „URSUS W LATACH 1980-1989. GDY CHCIELIŚMY BYĆ WOLNI”.

Ludzie o nas wiedzieli, że się nie kryjemy i potrafimy wygrać strajk

Ze Zbigniewem Janasem, jednym z liderów Solidarności w Zakładach Mechanicznych Ursus i Regionie Mazowsze w latach 80, b. posłem, rozmawia Łukasz Perzyna

- W 1980 r. strajki w Ursusie, który wtedy już administracyjnie należał do Warszawy, zaczęły się jako jedne z pierwszych?

- To myśmy wraz ze Zbigniewem Bujakiem zaczęli strajk 2 lipca, zapamiętałem dokładną datę, bo akurat tego dnia przypadają moje urodziny. W Elektrociepłowni, gdzie wtedy kilkadziesiąt osób pracowało, stanęli wszyscy, poza obsługą turbiny, bo jej zatrzymać nie można było. Wraz ze Zbigniewem Bujakiem zawiązaliśmy komitet...

- Dlaczego tak od razu?

- Po to, żeby ludzie poczuli się pewnie. Ursus miał przecież za sobą doświadczenie z czerwca 1976 r. W sierpniu 1980 r. również presja była ogromna. Jeden z kolegów zemdlął z powodu napięcia. Powołaliśmy więc komitet i spisaliśmy postulaty: podwyżki płac oraz niereprezentowanie strajkujących.

- Dlaczego Wasz strajk nie rozszerzył się od razu na cały zakład?

- Całe „nieszczęście”, oczywiście mocno teraz akcentuję ten cudzysłów, polegało na tym, że przyszedł do nas od razu zastępca dyrektora Zbigniew Wilk. Na negocjacje. I przyjął postulaty. Nie mieliśmy więc szansy na to, żeby protest przeciągnąć, skoro ludzie odetchnęli z ulgą. Wspominałem już, jakie napięcie towarzyszyło tym wydarzeniom...

- A gdzie indziej też protestowano?

- Zbyszek polecił zaraz sprawdzić, co się dzieje. W innych miejscach ludzie stawali, przerywali pracę, ale nie wybie-

rali komitetu. Dlatego się rozeszło... Myśmy od razu wzięli na siebie odpowiedzialność. Mieliśmy też pomysł, co robić, gdyby strajk się rozszerzał i dłużej potrwał. Wystąpilibyśmy z żądaniem dodatku drożyznianego. Jednak dyrektor chciał protest szybko zamknąć, a co ważniejsze, miał do tego uprawnienia, dlatego skończyło się tak a nie inaczej. Na poziomie zakładu władza była zdecydowana, żeby zgadzać się na wszystko, byle protestów uniknąć.

- Jaki był efekt Waszego wystąpienia?

- Ludzie już o nas wiedzieli. O tym, że nie kryjemy się. I potrafimy wygrać strajk. To ułatwiło nam kolejne działania.

- Na czym one polegały?

- Gdy rozpoczął się strajk w Stoczni w Gdańsku, od razu odbył się wiec w Ursusie. Największy w historii zakładu. Przy głównej ulicy wewnętrznej na terenie fabryki. Zbigniew Bujak przemawiał wtedy z wózka akumulatorowego. Bez mikrofonu, bo pewnie nikt nie pomyślał o tym, że warto go przynieść. Ale głos dopisywał. Młodzi wtedy przecież byliśmy... Ogłosiliśmy zaraz zbiórkę pieniędzy na potrzeby strajkujących stoczniovców. Zbieraliśmy oczywiście do kapelusza. I wtedy ktoś krzyknął: kto to będzie liczył.

- Trudny moment... Jak zareagowaliście?

- Bujak wtedy się wykazał reflekssem. Bo zaraz temu, który krzyknął, odpowiedział: jak to kto, pan. Naprawdę go

do tego zachęcił. Zgłosiliście się, to będziecie liczyć, kto jeszcze? To zamknęło sprawę. Pieniądze wysłaliśmy potem pocztą do Gdańska. Powołaliśmy komitet poparcia strajkujących robotników Wybrzeża. Wydrukowaliśmy kilka tysięcy ulotek. Rozprowadzaliśmy je w zakładzie, jeszcze zanim zaczął się wiec. I zakład był gotowy do zatrzymania. Ale dostaliśmy informację od przyjaciół, żeby jeszcze nie strajkować, przygotować się tylko.

- Czy negocjacje z dyrekcją wtedy też się toczyły?

- Zbyszek Wilk, mówię tak, bo potem byliśmy z nim po imieniu, ale wtedy dla nas to był pan dyrektor, zaprosił nas na rozmowy o postulatach do budynku dyrektorskiego. Przyszliśmy w ciuchach z elektrociepłowni, tak prosto od roboty. I położyliśmy gazety na krzesłach, zanim na nich usiedliśmy. Przedstawiliśmy zebrane postulaty. Nastąpił potem jeszcze moment dramatyczny, bo Maciek Słotwiński pospieszył się, wezwał od razu do strajku, zebrał ludzi, z którymi poszedł pod budynek dyrektorski. Jakies kobiety płakały, wiadomo, jak napięte nerwy wszyscy mieli, pamiętający 1976 r. Zatrzymaliśmy jednak wtedy tych ludzi. Zbyszek Bujak powiedział: - Jak będzie trzeba zastrajkujemy.

- Jaki był efekt?

- Ludzie go posłuchali. I wszyscy przekonali się, że jeśli trzeba, umiemy zacząć strajk, ale jeśli nie to się z niego wycofać. To wtedy uznali nas za przy-



Koniec sierpnia 1980 r. w Stoczni im. Lenina w Gdańsku. Stoją od lewej: Emil Broniarek, Zbigniew Janas i Stanisław Karpezo (zbiory Emila Broniarka).

wódców. Bo potrafiliśmy zatrzymać zakład ale i cofnąć ludzi, jeśli ruszyli się przedwcześnie. Realizowano stopniowo nasze postulaty zakładowe. A za dwa tygodnie już była „Solidarność”. Wcześniej jednak pojechałem wraz z kolegami do Gdańska.

- Jak to przebiegało, oficjalnie czy potajemnie?

- Dyrekcja fabryki udostępniła nam samochód zakładowy z kierowcą. To był polski fiat, 125p, ale specyficzny rzadki dość typ, przedłużony...

- ...jamnik się na niego mówiło.

- Właśnie nim pojechaliśmy do Gdańska z delegacją. I byliśmy przy podpisaniu porozumień.

- Czy Bujak pojechał z Panem?

- Nie, musieliśmy się wtedy rozdzielić, został, żeby przypilnować tego, co dzieje się w zakładzie. Delegacja była trzyosobowa: Emil Broniarek, Antoni

Firlej i ja. Flagi polskie mieliśmy przygotowane i tak pojechaliśmy z wystawionymi z samochodu biało-czerwonymi flagami. Po drodze ze dwa razy zatrzymywała nas milicja. Ale tylko salutowali, gdy powiedzieliśmy, że jesteśmy delegacją, o co nam chodzi i dokąd jedziemy. Wtedy zrozumieliśmy, że atmosfera jest rewolucyjna naprawdę.

- Rozmawiał Pan w Stoczni z Lechem Wałęsą?

Spotkałem się z Wałęsą w nocy, siedzieliśmy w takich wielkich fotelach. Rozmawialiśmy, wypytawałem o kontakty, jakie mieliśmy. Wystąpiłem później w sali, gdzie toczyły się negocjacje, mam zdjęcie, jak przemawiam zza stołu, mówię o poparciu od robotników Ursusa dla gdańskich stoczniovców. Ludzie nas tam zatrzymywali, ścisali. Miałem to szczęście, że byłem przy podpisaniu porozumień 31 sierpnia.

FOT: Z KSIĄŻKI „URSUS W LATACH 1980-1989. GDY CHCIELIŚMY BYĆ WOLNI”

- Sierpnia 1980 nie przewidział nikt, włącznie z amerykańskimi instytucjami sowietologicznymi i kremlistycznymi, które dysponowały analizami wywiadu? Zapewne Pan również nie może o sobie powiedzieć, że się go spodziewał?

- Odkąd zacząłem dorosłe życie, byłem przekonany, że koniec komunizmu z czasem nastąpi. Jako czterna-stolatek założyłem z kolegami tajną organizację, w 1968 r. brałem udział w protestach studenckich na SGGW. Wiedziałem, że Polska nie pogodziła się z ustrojem jej narzuconym więc jego upadek uznawałem za nieuchronny. Sierpień stał się początkiem tego procesu. Wprowadzenie stanu wojennego nie zatrzymało go, tylko odłożyło w czasie. W trudnym momencie, ostatniego dnia lutego 1983 r. byłem przesłuchiwany przez SB. Powiedziałem im, że komuna z pewnością wkrótce upadnie. Zostałem zapytany, skąd to wiem. Powołałem się na lekturę gazety „Zenmin Zipao” czyli „Czerwony Sztandar”, którą czytałem oczywiście po rosyjsku nie po chińsku. Autorzy już wtedy stawiali tam taką właśnie tezę, chociaż gazeta jak sam tytuł wskazuje była wydawana przez partię komunistyczną. Jeszcze w latach 80 uczestniczyłem w takich inicjatywach jak Towarzystwo Gospodarcze Warszawskie, których celem było przygotowanie ludzi do swobodnego życia po upadku ustroju komunistycznego. Nie pomyśliśmy się, zakładając je. Sierpień 1980 był początkiem.

- Co zapamiętał Pan najlepiej z ówczesnych wydarzeń?

- Z uwagą słuchałem wtedy w sierpniu przekazów zagranicznych rozgłośni. Uznałem, że skoro robotnicy domagają się wolnych związków zawodowych, rolnikom też powinno przysługiwać prawo ich tworzenia. Mieszkaliśmy na wsi. Poszedłem więc do sąsiada. Spytałem czy organizujemy związek rolników. Odpowiedział jasno: wyjął mi to pan z głowy. Razem poszliśmy do następnego sąsiada a potem jeszcze kolejnego, wszędzie spotykając się ze zrozumieniem. I coraz więcej nas chodziło po chałupach z tym pomysłem. Tylko jeden z namawia-

Sierpień był dla wsi impulsem do działania

Z Gabrielem Janowskim, byłym ministrem rolnictwa rozmawia Łukasz Perzyna.

nych plecami się do nas odwrócił, a potem się okazał agentem. Tak się zaczęło. 20 września 1980 r. zaprosiłem do udziału w Komitecie organizacyjnym. Znalazło się w nim 50 członków z wielu województw. Pierwsze zebranie odbyliśmy w Hotelu Warszawa. Do tego, żeby nagłośnić nową inicjatywę, wykorzystałem inaugurację roku akademickiego SGGW.

- Czyli imprezę jak najbardziej oficjalną?

- Inauguracja roku na SGGW odbywała się wtedy w Sali Kongresowej, w Pałacu Kultury. Uznałem, że to znakomita okazja, żeby powstanie komitetu organizacyjnego nowych rolniczych związków upublicznić. Zaraz po części oficjalnej rektor SGGW zapowiedział część artystyczną. Wtedy podszedłem do mikrofonu, powiedziałem, że jeszcze nie czas, zacząłem mówić o powołaniu związku. Wkrótce wyłączono mi mikrofon. Ubezpieczający imprezę esbecy zaprowadzili mnie do jakiegoś pomieszczenia. Powiedziałem wtedy, że w Sali Kongresowej jest nas więcej i jeśli organizatorzy nie pozwolą mi wystąpić, podejmiemy okupację sali. Ostatecznie pozwolono mi odczytać oświadczenie. Był 1 października 1980 r.

- Jak przebiegały dalej próby powołania rolniczego związku?

- Doprowadziłem do połączenia trzech związków, które wtedy powstały, w jeden. Udało się to w marcu

1981 r. Powstał jeden związek, Solidarność Rolników Indywidualnych.

- Skąd wzięła się nazwa?

- Solidarność Wiejska nie zgodziła się na nazwę Solidarność Chłopska ani odwrotnie, ale na Solidarność RI wszyscy przystali. Pokrewieństwo nasze z Solidarnością pracowniczą pozostawało oczywiste. Sierpień był dla nas impulsem do działania na wsi. Trzeba jednak pamiętać, że inaczej organizuje się związek w wielkich zakładach pracy, a inaczej na wsi, gdzie trzeba objechać mnóstwo gmin, żeby spotkać się z ludźmi i ich zachęcić. Już 6 stycznia 1981 r. zorganizowałem spory wiec w Szeplowie, potem kolejny z udziałem kilku tysięcy osób na stadionie w Grójcu.

- Droga do legalizacji była jednak trudna, prowadziła przez strajki chłopskie, do ich zwycięstwa przyczyniło się poparcie Kościoła. Solidarność RI miała też problem z przewodniczącym Janem Kułajem, który z czasem kompletnie się pogubił.

- Przekonałem się sam o tym, jak władza nas zwalcza różnymi dostępnymi jej metodami. Na zjeździe w Poznaniu w marcu 1981 r. zniesławiano mnie. Pojawili się ulotki i nawet plakaty: „Uważajcie na Janowskiego. To były obszarne. Przywiedzie was do niewoli pańszczyżnianej”. Niestety uczestniczyli w tej akcji ludzie związani



z KOR, Wiesław Kęćik podszedł nawet do mnie później i za to przeprosił. Lansowano wtedy Kułaję, człowieka nieodpowiedzialnego, który świadectwo kim jest dał występując w stanie wojennym w telewizji. Pozostaje zawód, że kolejny przewodniczący przystąpił na zmarginalizowanie związku, na to, żeby służył politykom, aż stał się bez znaczenia. Żałuję, że wieś nie ma dziś reprezentanta swoich interesów.

FOT: WIKIMEDIA COMMONS, AUTOR KATARZYNA CZERWIŃSKA

- **Jakie wspomnienie sytuacji z udziałem Henryka Wujca przychodzi Panu na myśl teraz, gdy odszedł on niestety już na zawsze?**

- W sierpniu 1980 r. zamknęli nas...

- **...czołówkę opozycji, żeby nie koordynowała strajków, które i tak wybuchaly.**

- ..i wozili przez dwa tygodnie, z jednej komendy na drugą. Nagle, na Mokotowie, do celi wprowadzono Henryka Wujca. Spojrzałem na niego. Był mocno pobity. Dostrzegłem od razu podbite oko i podrapaną twarz. Ale równocześnie dla mnie fakt, że znaleźliśmy się w jednej celi - chociaż to oczywiście smutna sytuacja w jej przebywać, a dodatkowo zaniepokoiły mnie jego ślady pobicia - samo to, że byliśmy razem, stanowiło pewien optymistyczny sygnał i prognozę. Oznaczało bowiem, że wkrótce wyjdziemy na wolność. Władza unikała bowiem umieszczania w jednej celi opozycjonistów z tej samej sprawy, w tym wypadku z KOR.

- **Błąd w sztuce?**

- Jeśli stało się inaczej - to dobrze to rokowało. Pokazywało, że do pewnych swoich zasad już nie przywiązują wielkiej wagi. Ale nie od razu się przekonaaliśmy, że nie posiadamy długa. Najpierw Henryk Wujec opowiedział mi, jak do pobicia doszło. Gdy przenosili go tak

Zawsze stawał tam, gdzie byli słabsi

Z Janem Lityńskim, członkiem KOR o Henryku Wujcu rozmawia Łukasz Perzyna



jak mnie z komendy na komendę, wykorzystał chwilę nieuwagi i uciekł. Tyle, że później udał się do przychodni po zwolnienie lekarskie z pracy. Wiedzieli, że Henio jest skrupulatny i tam już na niego

czekali. Oczywiście znowu próbował im się urwać, doszło do szarpaniny, stąd te widoczne obrażenia. Taki był Henio, gdy widział szansę ucieczki, to z niej korzystał, żeby prześladowcom sprawy nie uła-

twiać. Heniek miał temperament. Gonią, to uciekał... Natomiast prognoza, że skoro siedzimy razem, to... już niedługo, rychło się potwierdziła. Dwa czy trzy dni później podpisano Porozumienia Gdańskie. Jednym z ustaleń ówczesnej ugody było uwolnienie więźniów politycznych. Tak więc rzeczywiście obaj wyszliśmy.

- **Represje, również zagrożenie fizyczne, były nieodłączne od działalności opozycyjnej.**

- Henryk Wujec został pobity również wcześniej w trakcie jednego z wykładów Uniwersytetu Łatającego, organizowanego przez Towarzystwo Kursów Naukowych w mieszkaniu Jacka Kuronia na Żoliborzu. Pod koniec lat 70 oficjalne socjalistyczne organizacje studentów wysyłały na takie opozycyjne spotkania naukowe osoby, które miały je zakłócać, zadawać agresywne pytania bez związku z tematem albo pokrzykiwać. Z czasem władza zmobilizowała grupę karateków z Akademii Wychowania Fizycznego i to oni jako młodzież socjalistyczna dokonali wtedy najścia na mieszka-

nie Kuroniów. Henryk Wujec został wtedy mocno pobity przez tych osiłków, bo stanął w obronie Grażyny Kuronowej, żony Jacka. Sytuacja była groźna, w mieszkaniu był ciężko chory wtedy ojciec Jacka, nikt nie wiedział, co stanie się za chwilę. Henryk Wujec wykazał się wtedy sporą odwagą.

- **Ofiarność leżała w jego naturze?**

- Zawsze stawał tam, gdzie byli słabsi, którzy potrzebowali pomocy.

- **Jaka była, jeśli można tak powiedzieć, specjalność Henryka Wujca w działalności opozycyjnej?**

- W KOR obaj specjalizowaliśmy się w kontaktach z robotnikami. Podzieliliśmy się nawet: Wujec pochodził z Biłgoraja, więc wziął na siebie Lubelszczyznę a poza tym Śląsk, zaś ja Polskę północną. Uzupełnialiśmy się. Razem byliśmy w redakcji, w stopce „Robotnika”. Jeździł częściej niż ja w teren.

FOT: PAWEŁ MAŁĄCZEWSKI

To była praca u podstaw

Z Pawłem Gralakiem, założycielem Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” w zakładach „Chemitex” w Sochaczewie rozmawia Łukasz Perzyna

- **Chodakowski „Chemitex” to była wtedy, w 1980 r, największa fabryka w Sochaczewie i okolicach?**

- Gdy byłem pracownikiem „Chemiteksu”, zatrudniał ok. 3200 osób, najwięcej wśród wszystkich zakładów pracy na terenie obecnego powiatu sochaczewskiego.

- **Kiedy zaczęliście działać?**

- W trakcie sierpniowych protestów na Wybrzeżu w 1980 r. pojawiło się napięcie również u nas. Dyrekcja w odpowiedzi zaczęła wywieszać skrzynki, do których pracownicy mogli składać swoje uwagi i wnioski, dotyczące funkcjonowania zakładu.

- **Ale Wam to nie wystarczało?**

- Strajku w sierpniu 1980 r. u nas nie przeprowadzono z dość oczywistej przyczyny. Przy takiej produkcji, jak w „Chemiteksie”, wiskozowej - każde przerwanie pracy mogło skutkować zatrzymaniem zakładu nawet na pół roku. Ten zakład się do strajku nie nadawał. Nastroje nie różniły się jednak od innych zakładów. Rzeczywiście skrzynki wystawiane przez dyrekcję nas nie satysfakcjonowały. Jeszcze w pierwszej połowie września stałem się inicjatorem grupy założycielskiej wolnego związku zawodowego.

- **Dlaczego właśnie Pan został przewodniczącym komisji zakładowej?**

- Byłem inicjatorem, zwoływałem ludzi, bo miałem z nimi styczność, pracowałem w Wydziale Głównego Mechanika, gdzie zatrudniano sporo pracowników umysłowych, łatwo było o codzienny kontakt. Miałem wtedy 29 lat, od sześciu lat pracowałem w zakładzie. Gdy powstała już grupa inicjatywna, licząca 10-12 osób, zorganizowaliśmy wspólne spotkanie przedstawicieli poszczególnych oddziałów, w sumie ok. 30 osób. Staliśmy się trzecim zakładem stąd, który zarejestrował się w Regionie Mazowsze: zebraliśmy od ludzi deklaracje i pojechaliśmy do Warszawy na Szpitalną. Wiedziałem, jak to zorganizować, miałem kontakt z zakładem Energomontaż Północ, wymienialiśmy się doświadczeniami. Następnego dnia po podróży do Warszawy w zakładzie udaliśmy się do dyrekcji. Nie stwarzała nam trudności. Z automatu, jeśli można tak powiedzieć, dostaliśmy na terenie fabryki lokal z telefonem. I zaczęliśmy... pracę u podstaw. Oddelegowany do działalności w tymczasowej Komisji Zakładowej zostaliśmy we dwoje: ja i koleżanka.

- **Od czego Pan zaczął?**

- Fala strajków w kraju już wygasła, zaczęliśmy się organizować. Wziąłem na siebie rekrutację. Chodziłem po oddziałach,

które liczyły od 20 do 500 osób. Trzeba też było załatwić rzeczy oczywiste, udostępnić listy członków, żeby kadry potrafiły składać związkowe i nam przekazywały. Wspomagaliśmy też innych, którzy wystartowali później, więc nas pytali, jak się związek zakłada: rozmawiałem z inicjatorami z banku czy spółdzielni ogrodniczej. Doradzaliśmy im, jak umieliśmy. Wiele zależało od nastawienia kierownictwa zakładów.

- **Jak to wyglądało w „Chemiteksie”?**

- Zetknęliśmy się z przychylnym stanowiskiem dyrekcji. Wspólnie uznaliśmy, że potrzebujemy siebie nawzajem. Kiedyś, gdy załatwiałem jakąś sprawę pracowniczą, wprost oznajmiłem dyrektorowi, że sukces nam się przyda. Drugi spory zakład w regionie - istniejący również dziś Boryszew - miał gorszą sytuację, założyciele komisji zakładowej spotkali się tam z wyraźną kontrą ze strony dyrekcji. My na naszych dyrektorów nie mieliśmy powodu się skarżyć.

- **Jaki był efekt rekrutacji?**

- Na 3200 osób, zatrudnionych w „Chemiteksie”, w Solidarności znalazło się 2500 osób. Około 70 proc. Większość od razu się zapisała, w pierwszym rzucie.

- **Z czasem okrzepiście, znikł ten element tymczasowości?**

- Nastąpiło to w okolicach Świąt Bożego Narodzenia 1980 r. Jesienią zarejestrowano w sądzie statut Solidarności. Dał podstawy do działania o jakim Pan mówi, bez tymczasowego charakteru. W zakładowej Solidarności trzy osoby były na etacie. Na oddziałach członkowie wybierali delegatów na zebranie ogólne, w sumie ok. 100 osób. Wszyscy by się nie zmieścili w jednym miejscu, więc trzeba było wyłonić reprezentantów. Spotkanie tych, których koledyzy wybrali, odbyło się w Domu Kultury w Chodakowie. Wtedy zostałem wybrany na przewodniczącego Komisji Zakładowej, liczącej 12 osób. Załatwialiśmy rozmaite sprawy pracownicze. Kierowałem się jedną zasadą, że bronimy ludzi z wyjątkiem sytuacji, gdy w grę wchodził alkohol... W tych przypadkach na przykład o cofnięcie zwolnienia z pracy nie zabiegaliśmy. Zajmowaliśmy się podwyżkami i wszelkimi regulacjami płacowymi, nagrodami...

- **Aż nadszedł 13 grudnia 1981 r?**

- Z całego „Chemiteksu” internowany został jeden pracownik, zarządzający miejską, sochaczewską strukturą. 13 grudnia, gdy tylko dowiedziałem się, że wprowadzono stan wojenny, po-

jechałem do zakładu. Trzeba było się zorientować, co dalej, jakie są teraz możliwości działania.

- **Udało się coś Panu tego dnia?**

- Dyrektor też był na miejscu. Okazało się, że milicja zatrzymała naszą koleżankę, tę o której już mówiłem, że razem zakładaliśmy w „Chemiteksie” Związek. Dyrektor zakładu był w egzekutywie Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Wymusiłem więc na nim interwencję. Zwolnili ją. Cel został osiągnięty.

- **Co z Wami potem zrobiono?**

- Najpierw miałem przez jakiś czas nie przychodzić do pracy. Taki przymusowy urlop. Byłem w zakładzie się nie pokazywać. Koleżanki też ta zasada dotyczyła.

- **Nie zaprzestał Pan jednak działania?**

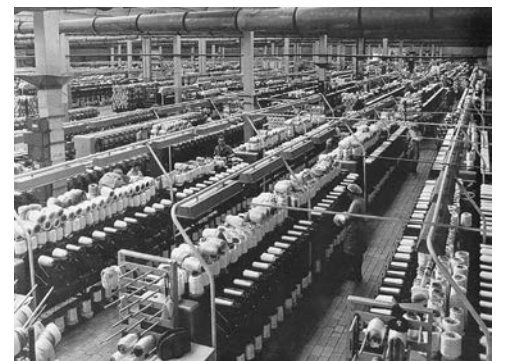
- Tyle, że działalność konspiracyjną prowadziliśmy już bardziej na terenie miasta niż zakładu pracy. Strajkować - o tym już mówiłem w kontekście Sierpnia - zresztą się u nas nie dało. Wcześniej przez 16 miesięcy legalnego działania braliśmy udział we wszystkich akcjach protestacyjnych Regionu Mazowsze, jeśli był to strajk, to zatrzymywaliśmy wszystko, co dało się zastopować bez szkody dla fabryki.

- **A protesty potem, po 13 grudnia?**

- Konspira w Sochaczewie - to były głównie ulotki. Raz mnie i koleżankę z innego zakładu zatrzymano, gdy zaczęliśmy odbywać spotkania u księdza, na plebanii. W lutym 1982 r w prywatnym domu w Sochaczewie odbył się koncert Jana Pieńszaka. Zaś co do zakładu - tam działać było bez porównania trudniej. Dyrekcja też zapłaciła cenę za współpracę z nami z „Solidarności”. Z trzech głównych dyrektorów dwóch odwołano, nie razem, tylko jednego po drugim. W tamtych trudnych latach rozpoznawało się, kto jest kim, jeśli ktoś wtedy nie zawiódł, można było na niego liczyć również później.

- **Aż wreszcie w 1990 r. został Pan pierwszym liderem samorządu w Sochaczewie?**

- Najpierw w 1989 r. zorganizowaliśmy solidarnościowy komitet wyborczy, ale nie ja stanąłem na jego czele, tylko kolega, który po 13 grudnia 1981 r. został internowany, to że jego wskazaliśmy to chyba oczywista decyzja. Rok później odbyły się wybory samorządowe.



- **Pierwsze wolne, bez kontraktu.**

- Komitet Obywatelski stworzył własną reprezentację, wystawiliśmy 27 kandydatów w 27 okręgach. Zdobyliśmy 26 mandatów. A ten jeden, co radnym został ale nie od nas - był na naszej liście, ale na dwa tygodnie przed wyborami ogłosił, że występuje, na nas się pogniwał, ale mandat zdobył. To były pierwsze demokratyczne wybory. Nikt nimi nie sterował. W mniejszych miejscowościach pod Sochaczewem zdarzało się, że wybierano wójtów, którzy pełnili to stanowisko przez lata 80. Znam takiego, który wójtom pozostaje od kilkudziesięciu lat, okazał się dobrym gospodarzem, więc ludzie go wybierają. Wtedy wolne wybory wiosną 1990 r. to był miły krok, początek polskiego samorządu. Zostałem pierwszym demokratycznie wybranym przewodniczącym rady miejskiej Sochaczewa.

- **Czy można powiedzieć, że polski samorząd, dziś oceniany bez wątpienia wyżej jak świadczą sondaże, od rządu czy parlamentu, wyrasta z ducha Solidarności?**

Niewątpliwie z jej tradycji się wywodzi, ze wspólnego działania. Samorządność polska zrodziła się z wysiłku ludzi, aktywnych w okresie Solidarności. Rząd Tadeusza Mazowieckiego szybko dostrzegł, że stworzenie Polski samorządnej to ważna kwestia. Wtedy powstał pierwszy szczebel samorządu, na poziomie gmin i dzielnic miast, to było kapitalne posunięcie, żeby od razu to zrobić... W działaniach z 1989 i 1990 r. uczestniczyli ci sami ludzie, którzy często wywodzili się wielomilionowej Solidarności z czasów 1980-81 r. Solidarność opierała swoją aktywność na demokratycznie podejmowanych decyzjach, długich często zebraniach i dyskusjach, skrupulatnych głosowaniach. Nie tak, jak tamci, co mieli sekretarzy i egzekutywę. Wspomnę znów o wyborach samorządowych z 1990 r. pierwszych w pełni wolnych. Mogliśmy wtedy wystawić 27 kandydatów, ale chętnych było 40. Komitet obywatelski przeprowadził więc prawybory, w których uczestniczyło około 100 osób. Dla mnie tradycja Solidarności to nie dzielenie marchewki. To upodmiotowienie społeczeństwa, które się zaczęło poza oficjalnymi strukturami. Polska samorządność stanowi jego kontynuację.

FOT: CHODAKOWSKA FABRYKA WŁÓKIEŃ CHEMICZNYCH „CHEMITEX”

„Budujemy strategię pod wybory 2023 w skali ogólnokrajowej zarówno do sejmików, jak i parlamentu”



Dominik Łęzak – rzecznik MWS rozmawia z Dariuszem Stasiakiem – Przewodniczącym Klubu Radnych Bezpartyjni Samorządowcy w Sejmiku Województwa Dolnośląskiego. W samorządzie pracuje już prawie 25 lat. Od początku swojej działalności skupia się na rozwiązywaniu problemów, z jakimi mierzą się codziennie samorządy w małych powiatach zlokalizowanych wokół Wrocławia. Zajmuje się tematami związanymi z ochroną atmosfery i środowiska oraz kwestią przywrócenia i usprawnienia połączeń kolejowych na terenie Dolnego Śląska.

Dominik Łęzak: W 2018 r. Bezpartyjni Samorządowcy odnieśli sukces w skali kraju przekraczając w wyborach samorządowych próg 5% oraz na terenie województwa dolnośląskiego zdobywając kilkanaście procent. Jak z perspektywy czasu ocenia Pan ten wynik?

Dariusz Stasiak: Wynik ten to istotny początek drogi ku następny wyborom i sukcesom zarówno na Dolnym Śląsku, jak i w kolejnych regionach. Samorząd to miejsce do wykonywania się politycznych charakterów. Połączenie ludzi kreatywnych, intelektualnie i politycznie podmiotowych to główny cel działań, jakie dzisiaj podejmujemy, szukając różnych formuł współdziałania.

- Co przez te niepełne dwa lata udało się zrobić Bezpartyjnym Samorządowcom na terenie Dolnego Śląska?

- Przede wszystkim podpisać i realizować umowę koalicyjną w Sejmiku Województwa Dolnośląskiego, ukierunkowaną na szybki rozwój infrastruktury poprawiającej walory Dolnego Śląska jako miejsca do życia i inwestowania. Nowa koncepcja połączenia drogami szybkiego ruchu Kłodzka i Wałbrzyska, rozwój Kolei Dolnośląskich (spółka realizująca przewozy pasażerskie), nowe mosty w regionie, obwodnice miast, odbudowa zlikwidowanych linii kolejowych łączących miasta powiatowe z Wrocławiem – to wszystko dzieje się w przyspieszonym tempie dzięki koalicji w sejmiku, w której odgrywamy istotną rolę. Jesteśmy w trakcie przejmowania ponad 20 nieczynnych linii kolejowych. Do dziś samorząd wszedł w posiadanie tras o łącznej długości ponad 150 km, z planowanych do przejęcia ponad 350 kilometrów linii. W ubiegłym roku w rekordowym tempie przejeżdżaliśmy, wyremontowaliśmy oraz oddaliśmy do użytku linie Dzierżoniów – Bielawa, a także uruchomiliśmy połączenie kolejowe Wrocław – Lubin.

Pracujemy także nad nowym Regionalnym Programem Operacyjnym na lata 2021-27. Chcemy do niego podejść nieco inaczej, angażując wcześniej samorządy w proces jego współtworzenia. W szczególności zależy nam na projektach ponadlokalnych, łączących gminy i powiaty sieciami infrastruktury, jak choćby drogi rowerowe, czy subregionalne instalacje termicznego przekształcania odpadów. Nowe narzędzia, jak Rządowy Fundusz Inwestycji Lokalnych, czy Krajowy Plan Odbudowy to przestrzeń dla dużych projektów, które złożyliśmy jako województwo i do realizacji których jesteśmy przygotowani.

- Czy współzrządzenie z PiS w województwie dolnośląskim spełnia oczekiwania BS?

- To nie jest łatwa koalicja, ale nie o łatwości rządzenia chodzi, tylko o sprawy ważne dla Dolnoślązaków, a przede wszystkim ich realizacja w jak najszybszym tempie. Z takiego punktu wi-

dzenia nie było alternatywy dla koalicji Bezpartyjnych Samorządowców z Prawem i Sprawiedliwością. Łączy nas jeden fundamentalny interes. Jest nim wykorzystanie każdej szansy na „więcej, szybciej i lepiej” dla Dolnego Śląska.

- Jak liczna jest struktura BS w województwie? Jakże działania są podejmowane, które mają na celu zbudować mocne struktury organizacji, tak aby w kolejnych wyborach samorządowych wynik został poprawiony?

- Poza standardowymi działaniami organizacyjnymi, integrujemy samorządy wokół wspólnych projektów. Bezpartyjni Samorządowcy to projekt dla wzmocnienia podmiotowości i w konsekwencji niezależności samorządów. Współpracując z nami coraz większa liczba samorządowców różnych szczebli, którzy mają szczerze dosyć prób wikłania ich w doraźną politykę. Chcą zmieniać to za co odpowiadają prostymi i funkcjonalnymi działaniami, bez uzależniania się od tej czy innej grupy politycznej.

- Co przekonuje nowych działaczy, aby dołączyli do Bezpartyjnych Samorządowców? Czy młodzi ludzie chętnie dołączają do BS?

- Młodzi z natury rzeczy walczą o niezależność życiową. Tak jest też w polityce. To właśnie młodzi ludzie w Bezpartyjnych Samorządowcach dostrzegają szansę na przestrzeń wolności oraz kreatywnego myślenia i działania. Tzw. „nowych” przekonuje otwartość i w pewnym sensie bezwarunkowość współpracy. Samorząd to słowo klucz również we wzajemnych relacjach. Bezpartyjni Samorządowcy w sejmiku pomagają, podejmują i wspierają wiele lokalnych inicjatyw w sferze kultury, sportu, turystyki, zabytków, przedsiębiorczości... To pomaga tworzyć więzi i relacje nieco inne, niż oparte o formułę: „damy jeździeli...”. My chcemy współpracować i niczego nie wymuszamy.

- Co jest priorytetem BS na terenie Dolnego Śląska na najbliższe lata?

Dariusz Stasiak: Bez wątpienia realizacja umowy koalicyjnej. To obrazuje skuteczność, konieczną żeby budować relacje wewnątrz Bezpartyjnych Samorządowców, ale przede wszystkim z ludźmi, dla których na co dzień pracujemy. Jeśli uruchomimy procesy i zrealizujemy to, co zapisaliśmy w tej umowie oraz liczne inicjatywy ponadlokalne, które tworzą samorządy gminne i powiatowe pod nową perspektywę unijną, przyszłość BS na Dolnym Śląsku zarysowuje się barwnie. Warto zaznaczyć, że wśród realizowanych zapisów umowy koalicyjnej jest wspomniane przywracanie kolei mieszkańcom regionu czy budowa Dolnośląskiego Centrum Sportu na Polanie Jakuszyckiej – najnowocześniejszego w Polsce i Europie ośrodka biathlonu i narciarstwa biegowego.



- Jak rozwija się struktura BS poza województwem dolnośląskim?

- Rozwija się i korzysta z naszych doświadczeń. Spotykamy się systematycznie i budujemy strategię pod wybory 2023 w skali ogólnokrajowej zarówno do sejmików, jak i parlamentu. Po wielu sukcesach, ale i dwóch porażkach (współpraca z Rafałem Dutkiewiczem zakończona jego osobistym mariażem z PO w 2014 r. i wybory prezydenckie 2015, w których wystawiliśmy Pawła Kukiza) chyba już wiemy co, jak i z kim robić, żeby projekt polityczny, jakim są Bezpartyjni Samorządowcy, przybrał skutecznie wymiar ogólnopolski.

- Co Pan sądzi o podziale województwa mazowieckiego? Jest Pan za czy przeciw? Jak to wygląda z perspektywy zachodniej części RP?

Dariusz Stasiak: To projekt polityczny, a nie społeczno-gospodarczy. Jako taki zawsze przez jednych będzie oceniany pozytywnie, a przez innych jako próba wycisnienia „politycznej cytryny” na rzecz konkretnej formacji. Polska potrzebuje kontynuacji reformy samorządowej w skali makro, a nie skupiania się na jednym regionie. To nic innego, jak próba złupienia tego, co politycznie najatrakcyjniejsze. Szczerze mówiąc, osobiście jestem zupełnie zaskoczony 12 mld złotych dla samorządów w ramach RFIL. To naprawdę wyłom w ramach od dawna realizowanej polityki wyłączenia samorządów z kompetencji i pieniędzy. Daj Bóg, aby to był początek zmiany w myśleniu o samorządach i ich roli, przez ludzi obecnie rządzących państwem. Samorząd, szczególnie po pandemii może stać się motorem szybkiego wdrażania programów inwestycyjnych, dających ludziom pracę i ratujących PKB, a co za tym idzie budżet państwa.

- Czy wyobraża Pan sobie wspólne listy do sejmiku BS z Szymonem Hołownią lub PSL? Jeśli tak/nie dlaczego?

- Czy lepiej żeby BS szli samodzielnie w wyborach samorządowych?

- Nie wyobrażam sobie żadnych wspólnych list. Samorząd i samorządność to potencjał na tyle znaczący i tak kwantyfikujący Polski interes narodowy, że dodatkowe identyfikatory, według mnie, nie są potrzebne. Powyżej przytoczone, złe doświadczenia z ludźmi o wyrobionych nazwiskach to spektakularna przestroga przed grą „znaczonymi i wytartymi kartami”. Wartość to idea i zasada, a te zawierają się w dwu słowach: Bezpartyjni (nie PSL-owscy czy inni) Samorządowcy.

- Proszę wyjaśnić naszym czytelnikom spoza województwa dolnośląskiego o co chodzi z mostem w Pilchowicach? Jaki będzie finał tej sprawy?

- Finał już nastąpił. Most został wpisany do rejestru zabytków i to kończy sprawę i zagrożenie dla jego istnienia. Ale nie nam wątpliwości, że zapewne w dość dziwnych okolicznościach, wbrew logice, zdrowemu rozsądkowi i interesom Dolnoślązaków (wszak to część linii kolejowej, jaką w najbliższych latach zamierzamy odtworzyć) ktoś zdeklarował jego likwidację w ramach współpracy niezbyt czytelnej, ale oświadczonej publicznie przez jednego z wiceministrów, twierdzących, że to rupieć, i że zostanie wysadzony tylko „troszkę”. Ten most został ocalony przez larum wzniecone przez Bezpartyjnych Samorządowców z Dolnego Śląska, którzy w porę dostrzegli co się dzieje i ku czemu zmierzają losy tego pięknego i w pełni sprawnego technicznie obiektu. Gdyby to nie poszło po „linii bezpartyjnej”, to jestem pewien, że za rok w kolejnej odsłonie „Mission: Impossible” zachwycilibyśmy się fantastyczną dekapitalizacją naszego majątku, nic nie wiedząc o tym, że to nasz most i że już go nie ma.

- Dziękuję za poświęcony czas na rozmowę i życzyć powodzenia!



**WARSZAWA
I OKOLICE
WIO.WAW.PL**

**BĄDŹ NA BIEŻĄCO
Z TYM CO SIĘ DZIEJE
W MIEŚCIE I OKOLICY!**



Krzysztof Rymuza: nie ma żadnego logicznego uzasadnienia podziału Mazowsza

Z Krzysztofem Rymuzą – starostą powiatu pruszkowskiego rozmawia Dominik Łęzak – rzecznik MWS.



Dominik Łęzak: Panie Starosto, od początku epidemii koronawirusa w Polsce minęło już kilka miesięcy. Jak sytuacja wygląda na terenie powiatu pruszkowskiego?

Krzysztof Rymuza: Początki były bardzo nerwowe, służby, szpitale, przychodnie, apteki oczekiwały od nas wsparcia w pozyskiwaniu środków ochrony osobistej, na rynku brakowało wszystkiego, w TV tylko zapewnienia i obietnice, że zaraz wszystko będzie. Na szczęście w naszym powiecie epidemia rozwijała się bardzo powoli, pojedyncze, udokumentowane przypadki, napawały optymizmem. Po kilku tygodniach wystąpiła długa przerwa w zachorowaniach, przez 3 tygodnie nie było ani jednego zakażenia. Od tygodnia gwałtownie wzrasta ilość potwierdzonych przypadków od 5,7,8 doszło do 22 dziennie. W prawie 176 000 powiecie to ciągle jest nieduża liczba chorych, ale trend jest niepokojący.

- Czy mieszkańcy powiatu pruszkowskiego stosują się do zaleceń rządowych - jak to wynika z Pana obserwacji?

- Mieszkańcy ze zrozumieniem odnieśli się do zagrożenia i uczciwie stosu-

wali się do zaleceń rządowych. Po okresie całkowitej izolacji nastąpił okres znecierpliwienia i oporu w stosunku do noszenia maseczek, ale obecnie w obliczu nastającej fali zakażeń wraca dyscyplina i współpraca mieszkańców w tym zakresie.

- W ostatnich dniach dużo mówi się na temat podziału Mazowsza. Jakie jest Pana stanowisko w tej sprawie?

- Nie ma żadnego logicznego uzasadnienia podziału Mazowsza, podział dla potrzeb rozdziału funduszy unijnych już nastąpił, można mówić o potrzebie ustawy metropolitalnej, ale nie podziału województwa. Powrót do idei 49 województw, już był i się nie sprawdził.

- MWS i Bezpartyjni Samorządowcy złożyli w dniu 13 sierpnia br. wniosek o referendum w sprawie podziału województwa mazowieckiego. Andrzej Halicki (eurodeputowany z KO) chwali to działanie. Czy referendum naprawdę jest możliwe i jak mogą zachować się mieszkańcy?

- Referendum jest najbardziej demokratyczną formą podejmowania decyzji przez społeczeństwo, niestety nasze przepisy stawiają bardzo wysokie progi ilości uczestników. Jest to zasadne działanie, ale obciążone ryzykiem niepowodzenia z powodów formalnych.

- Co Pan sądzi o podniesieniu wynagrodzenia m.in. posłom, senatorom, ministrom oraz samorządowcom?

- Uważam, że to zła decyzja i do tego podjęta w fatalnym momencie.

- Czy Pierwsza Dama w Polsce powinna pobierać wynagrodzenie?

- Tak, jak najbardziej, ale dlaczego na tak wysokim poziomie.

- W imieniu Mazowieckiej Wspólnoty Samorządowej dziękuję za poświęcony czas na rozmowę i życzę dużo zdrowia.

- Dziękuję.

Sylwester Sokolnicki: referendum to niezwykle ważne narzędzie w demokracji

Z Sylwestrem Sokolnickim – starostą legionowskim rozmawia Dominik Łęzak – rzecznik MWS.

Dominik Łęzak: Panie Starosto, od początku epidemii koronawirusa w Polsce minęło już kilka miesięcy. Jak sytuacja wygląda na terenie powiatu legionowskiego?

Sylwester Sokolnicki: Od 6 maja br. nie mieliśmy przypadków zgonów spowodowanych chorobą COVID-19 (w sumie w powiecie zmarło z tego powodu 8 osób), a liczba potwierdzonych wyników testu zakażeń od początku pandemii wyniosła w naszym powiecie 130 (dane z 16 sierpnia 2020). Biorąc pod uwagę, że nasz region zamieszkuje blisko 120 tysięcy osób, można powiedzieć, że jesteśmy obszarem epidemiologicznie bezpiecznym.

- Czy mieszkańcy powiatu legionowskiego stosują się do zaleceń rządowych - jak to wynika z Pana obserwacji?

- Dane, które przytoczyłem powyżej pokazują, że z pewnością mieszkańcy powiatu legionowskiego zachowują się odpowiedzialnie i przestrzegają zaleceń sanitarno-epidemiologicznych. Niska w stosunku do liczby ludności liczba potwierdzonych zakażeń pokazuje, że nasza wspólnota lokalna to ludzie, którzy dbają o siebie nawzajem, bo tym właśnie jest w dobie pandemii stosowanie reżimów sanitarnych – nie tylko ochroną samego siebie, ale też dbałością o tych, którzy nas otaczają i z którymi się stykamy. Jak wszędzie trafiają się także u nas osoby, które kontestują obostrzenia związane z pandemią, ale są to jednostkowe przypadki.

- W ostatnich dniach dużo mówi się na temat podziału Mazowsza. Jakie jest Pana stanowisko w tej sprawie?

- Podział Mazowsza na dwa nowe województwa to temat, który pojawia się w przestrzeni publicznej od czasu do czasu. Poza tym, że publicznie wypowiadają się o tej kwestii przedstawiciele wszystkich stron sceny politycznej, nie ma żadnych danych, na podstawie których taki pomysł można by ocenić. Trudno wypowiadać się w tak ważnej kwestii nie znając propozycji konkretnych rozwiązań w poszczególnych dziedzinach, jak chociażby

budżet, transport, gospodarka odpadami, zarządzanie służbą zdrowia. Nie znamy też żadnych statystyk, wyliczeń ani partych nimi prognoz odnośnie skutków przyjęcia takiego rozwiązania. De facto więc w tym momencie nie ma czego oceniać i komentować.

- MWS i Bezpartyjni Samorządowcy złożyli w dniu 13 sierpnia br. wniosek o referendum w sprawie podziału województwa mazowieckiego. Andrzej Halicki (eurodeputowany z KO) chwali to działanie. Czy referendum w tej sprawie naprawdę jest możliwe i jak mogą zachować się mieszkańcy?

- Referendum to niezwykle ważne narzędzie w demokracji, sposób na zaangażowanie obywateli bezpośrednio w proces decyzyjny. Należy jednak pamiętać, jak złożoną kwestią jest podział Mazowsza, jak wiele obszarów obejmuje. Wyjaśnienie potencjalnych konsekwencji takiego rozwiązania, przedstawienie argumentów za i przeciw, wymaga przede wszystkim konkretów, jak ów podział miałby wyglądać. Dopiero, gdy znane są założenia, można się do nich odnieść, a póki co, jak wspominałem wcześniej, brakuje nam danych, które można by poddać analizie i na jej podstawie uznać to rozwiązanie za złe lub dobre. Niezwykle ważną kwestią jest również to, jak zostanie sformułowane pytanie referendalne. W dużej mierze to ono właśnie może mieć wpływ na to, czy uda się zainteresować mieszkańców Mazowsza tematem tak dla nich abstrakcyjnym i oddalonym od ich codziennego życia na tyle, by sprawę rozważyli, a następnie udali się do urn, by oddać głos w referendum.

- Co Pan sądzi o podniesieniu wynagrodzenia m.in. posłom, senatorom, ministrom oraz samorządowcom?

- Jestem zdania, że osoby, które na swoje barki biorą ogromną odpowiedzialność za zarządzanie majątkiem, podejmowanie decyzji, które decydują o jakości życia mieszkańców i są odpowiedzialne za rozwój swoich gmin, po-



wiatów czy województw, powinny być wynagradzane adekwatnie do zakresu tej odpowiedzialności. Jednak obecnie, w dobie pandemii i niepewności co do rzeczywistego kształtu samorządowych budżetów, moment nie sprzyja dyskusji na ten temat, bo inne kwestie są dla nas samorządowców i naszych mieszkańców bardziej palące.

- Czy Pierwsza Dama w Polsce powinna pobierać wynagrodzenie?

- Biorąc pod uwagę, że z racji pełnionej przez małżonkę funkcji Pierwsza Dama jest zmuszona zrezygnować z aktywności zawodowej oraz fakt, że rola ta wiąże się z szeregiem obowiązków, trudno krytykować samą ideę wynagrodzenia dla niej. Uważam, że ten temat wymaga uregulowania i warto o tym dyskutować bez zbędnych emocji.

- W imieniu Mazowieckiej Wspólnoty Samorządowej dziękuję za poświęcony czas na rozmowę i życzę dużo zdrowia.

- Dziękuję i również życzę zdrowia i siły w tych trudnych czasach Panu i wszystkim Czytelnikom Mazowieckiej Wspólnoty Samorządowej.

Skutki pandemii odczuwamy poprzez znaczny ubytek dochodów budżetowych miasta

Dla Mazowieckiej Wspólnoty Samorządowej wywiad z Grzegorzem Szuplewskim – Burmistrzem Piastowa przeprowadził Dominik Łęzak – rzecznik MWS.

Dominik Łęzak: Panie Burmistrzu, od początku epidemii koronawirusa w Polsce minęło już kilka miesięcy. Jak sytuacja wygląda na terenie gminy Piastów?

Grzegorz Szuplewski: Jak dotąd skutki pandemii wywarły umiarkowane negatywny wpływ na nasze miasto. To co najważniejsze – czyli stan zdrowia mieszkańców na szczęście nie uległ z tego powodu pogorszeniu. Mamy niski wskaźnik hospitalizowanych mieszkańców Piastowa, udaje się też utrzymać stabilny wskaźnik osób przebywających na kwarantannie i pod obserwacją epidemiczną. Niestety, skutki pandemii odczuwamy poprzez znaczny ubytek dochodów budżetowych miasta.

- Czy mieszkańcy Piastowa stosują się do zaleceń rządowych - jak to wynika z Pana obserwacji?

- Jak dotąd nie wygląda to najgorzej. Oczywiście zdecydowanie lepszą dyscyplinę



jako mieszkańcy Piastowa wykazywaliśmy na początku pandemii, potem było gorzej. Jednak generalnie możemy wystawić sobie ocenę dobrą.

- W ostatnich dniach dużo mówi się na temat podziału Mazowsza. Jakie jest Pana stanowisko w tej sprawie?

- Po pierwsze nie znamy dokładne założeń do takiego podziału, po drugie nie wiemy co jest głównym celem takiego ewentualnego działania. Tak więc najpierw musimy poznać intencje i propozycje podziału by dokonać oceny. Moim zdaniem zamiast szukać pośpiesznie koncepcji podziału warto byłoby podjąć poważną, merytoryczną dyskusję nad utworzeniem metropolii warszawskiej. Oczywiście nie w takiej formie jak ostatnio. Ważne by podjąć wreszcie ten ważny temat – rozważnie i bez nadmiernej gośpiechu. Wówczas być może

okaże się, że upadną argumenty za ew. podziałem, lub pojawi się inna jego koncepcja i dokonana w inny sposób. Czekam niecierpliwie na więcej konkretnych informacji dotyczących tego tematu.

- MWS i Bezpartyjni Samorządowcy złożyli w dniu 13 sierpnia br. wniosek o referendum w sprawie podziału województwa mazowieckiego. Pod inicjatywą zebrano na razie tysiąc podpisów. Członkowie komitetu referendalnego deklarują, że są gotowi zebrać potrzebne do rozpisania referendum podpisy 5% mieszkańców całego województwa mazowieckiego, czyli ok. 270 tysięcy podpisów. Czy jest to możliwe?

- Jestem przekonany, że tak. Cieszę się z tej inicjatywy, która pozwala uzyskać opinię w tej ważnej sprawie wszystkich mieszkańców Mazowsza, a więc tych, którzy są szczególnie zainteresowani tym tematem.

- Co Pan sądzi o projekcie, który trafił do Sejmu RP o podniesieniu wynagrodzenia m.in. posłom, senatorom, ministrom oraz samorządowcom?

- Nie oceniając szczegółowych założeń projektu negatywnie oceniam tryb procedowania posłów i senatorów. Temat z pewnością jest ważny i nie wątpię, że powróci niebawem.

- Czy Pierwsza Dama w Polsce powinna pobierać wynagrodzenie?

- Myślę, że tak. Pierwsza Dama wykonuje przecież pracę dla wspólnego dobra Polski i Polaków.

- W imieniu Mazowieckiej Wspólnoty Samorządowej dziękuję za poświęcony czas na rozmowę i życzę dużo zdrowia.

- Dziękuję i odwzajemniam życzenia dla Pana i całej społeczności Mazowieckiej Wspólnoty Samorządowej

Bogusia poznałem w pierwszym tygodniu studiów w Akademiku UJ na Bydgoskiej C. Był już „weteranem”, chyba na II roku historii. Pochodzi ze Stubna k. PRZEMYŚLA, ze Stubna był Jego ojciec Bronisław, a matka Władysława z okolic Dynowa – moje rodzinne strony. Kresowa dusza, lwowska dusza. Był postacią znaną i powszechnie lubianą, jedną z czołowych osób w SKMA UJ, lubię to środowisko.

Znaliśmy się dobrze, ale do przyjaźni jeszcze chyba daleko było. Po studiach mieliśmy sporadyczny kontakt, aż nagle jakieś 20 lat temu Boguś zaproponował mi współpracę w zakresie rozwoju technologicznego mojej firmy z wykorzystaniem środków UE, on historyk...? Czas pokazał, że rozumiał wszystko doskonale.

Wcześniej Boguś miał krótką, lecz burzliwą karierę w Samorządzie Krakowa, był RADNYM I przewodniczącym KOMISJI INFRASTRUKTURY, zawsze był konserwatywny i wolnościowy...zawsze. Tutaj też realizował swoje

Wspomnienie o Bogumile Ryszardzie Ścirko (1969-2018)

cele. Po niespodziewanym odejściu od SAMORZĄDU instynktownie skierował się w moją stronę. To był duet niemal idealny, ja przyrodnik i przedsiębiorca, „manager”...modnie mówiąc i ON: humanista w pełnej krasie, człowiek o nieprawdopodobnej inteligencji i uroku. Zbudował, może nawet zbudowaliście wiele, ale to On był zawsze dobrym duchem, człowiekiem, na którego nawet nie można się pogniewać. Boguś jak wchodził na pełną salę i z boku coś powiedział, zwykle dowcipnego...sala zamierała. To był chłopak, który zawsze miał „wejście”. Po prostu tryskał dowcipem, swoim specyficznym i niepodrabialnym. Uczciwy wobec ludzi do szpiku kości, filantrop, dobry człowiek.

Przejechaliśmy razem pół świata, pół Europy, ROSJE, KAUKAZ, CHINY. Lepszego partnera do wyprawy trudno

znaleźć, zawsze dyskutowaliśmy o tysiącu spraw i nigdy, w sumie ani razu się nie pokłóciliśmy. Każda umowa, nawet na miliony złotych była na słowo, papier był tylko „dla pamięci”. On uczył mnie, a ja Jego w skromnym zakresie.

Motocyklista, skialpinista, podróżnik, MÓJ PRZYJACIEL. 100 RAZY ŚMIERC NAM ZAGŁADAŁA W OCZY. ZMARŁ NAGLE I NIESPODZIEWANIE...praktycznie we własnym łóżku. Kochający mąż wspaniałej Moniki i ojciec dwóch córek, perelek Doroty i Kasi.

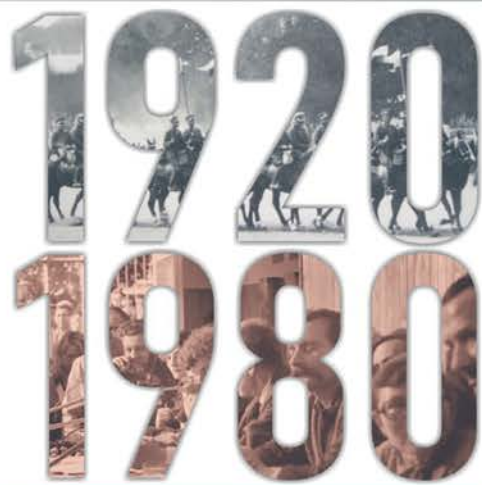
21.08.2020 przypada 2-ga rocznica JEGO przedwczesnej śmierci. Kto Go raz spotkał, nigdy nie zapomni. Ja na pewno.

WITOLD JERZY BOROWSKI



100

Rocznica Cudu nad Wisłą



40 rocznica powstania
NSZZ SOLIDARNOŚĆ

29 SIERPNIA 2020 IŁÓW

1920 1980

Proboszcz Parafii M.B. Królowej Polski w Iłowie
Stowarzyszenie na Rzecz Rozwoju Ziemi Iłowskiej
Mazowiecka Wspólnota Samorządowa

zapraszają

na Uroczystości z okazji obchodów
100 Rocznic „Cudu nad Wisłą”
i 40 rocznicy powstania NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”,
które odbędą się w dniu
29 sierpnia 2020 roku w Iłowie.

Prezes Stowarzyszenia na
Rzecz Rozwoju Ziemi Iłowskiej
Andrzej Ciołkowski



Proboszcz Parafii
M.B. Królowej Polski
Ks. Krzysztof Borucki



Wiceprezes Mazowieckiej
Wspólnoty Samorządowej
Mariusz Ambroziak



Program uroczystości:

Aula Szkoły Podstawowej im. Marszałka J. Piłsudskiego
w Iłowie

16.30 Wernisaż prac artystów uczestniczących w
projekcie „Aleksander Sochaczewski – malarz
syberyjskiej katorgi”

17.00 Wykład poświęcony życiu i twórczości
Aleksandra Sochaczewskiego

Otoczenie Kościoła p.w. Podwyższenia Krzyża św. w Iłowie

18.30 Hymn Państwowy
Modlitwa
Apel pamięci
Złożenie kwiatów pod Kolumną Niepodległości
Koncert pieśni patriotycznych
Otwarcie wystawy malarstwa Aleksandra
Sochaczewskiego

WIELKI MALARZ Z IŁOWA

Aleksander

1843



Sochaczewski

1923

RABAT NA PYSZNE KAWY OD UNIQUE CHOICE

PRZY WSPÓŁPRACY Z MANUFAKTURĄ PALARNIĄ KAWY UNIQUE CHOICE NASI CZYTEL-
NICY OTRZYMUJĄ 10% KUPON RABATOWY NA WSZYSTKIE KAWY ZIARNISTE W SKLEPIE.

KUPON RABATOWY TO: „10%WIO.WAW.PL”. NALEŻY GO WPISAĆ W KOSZYKU W POZYCJI
„KUPON” W SKLEPIE INTERNETOWYM UNIQUE CHOICE WWW.UNIQUECHOICE.PL

KUPUJĄC MINIMUM 2 OPAKOWANIA PO 250G KAWY MOŻNA SKORZYSTAĆ Z DARMOWEJ
DOSTAWY CAŁEGO KOSZYKA W WARSZAWIE I OKOLICACH ORAZ DO PACZKOMATÓW NA
TERENIE CAŁEJ POLSKI. MOŻLIWY RÓWNIEŻ ODBIÓR OSOBISTY W KAWIARNI NA WAR-
SZAWSKIM GOĆLAWIU PRZY UL. MIĘDZUBORSKA 10A.

UNIQUECHOICE
quality products and people

Świeżo palona
kawa

z manufakturowej
palarni

10%

Odbierz rabat!

www.uniquechoice.pl



Odszedłem z partii. Jestem bezpartyjny

Partie polityczne są bez wątpienia fundamentem państwa demokratycznego. Obecnie nie cieszą się jednak dużym zaufaniem społecznym. 98% Polaków nie należy do żadnej partii. Wielu angażuje się w życie polityczne poza systemem partyjnym. Rzesza bezpartyjnych społeczników i aktywistów jest coraz większa. Część świadomie wybiera bezpartyjną ścieżkę działalności publicznej, porzucając aparat partyjny.

Z Januszem Krakowianem – samorządowcem, byłym radnym gminy Poczesna pod Częstochową, radnym powiatu częstochowskiego, radnym sejmiku województwa śląskiego, przez dwie kadencje wicestarostą częstochowskim i byłym członkiem Platformy Obywatelskiej rozmawia Marcin Maranda.

Marcin Maranda: Byłeś członkiem Platformy Obywatelskiej. Opuściłeś partię u szczytu jej władzy i popularności. Dlaczego?

Janusz Krakowian: To prawda. Byłem członkiem PO w zasadzie od jej powstania. Pełniłem nawet w PO różne funkcje. Byłem przewodniczącym jej struktur powiatowych a nawet członkiem rady krajowej. Rezygnację z członkostwa złożyłem 2 kwietnia 2015 roku w czasie kiedy poszukiwano tej słynnej ciężarnej zakonnicy, którą miałby przejechać na przejściu dla pieszych B. Komorowski aby przegrać wybory. Dlaczego? Bo moim zdaniem PO stała się partią władzy a nie partią z jakimś pomysłem. Wtedy do PO przyjęto wiele osób działających wcześniej w innych partiach, od lewa do prawa. Pamiętam, że kiedyś z moim kolegą pojechaliliśmy na posiedzenie Rady Krajowej i po wejściu na salę zapytałem go, czy nie pomyliłbym sali, bo było tam mnóstwo ludzi z PiS i SLD. Stwierdziłem, że to już nie dla mnie. Wolę jak ludzie się jednoczą wokół jakiegoś pomysłu a nie wokół władzy.

- A pamiętasz powody dla których wstąpiłeś do PO?

- Bo to kiedyś fajna partia była. Naprawdę. Mieliliśmy pomysły na gospodarkę, uspołecznienie polityki przez wprowadzenie okręgów jednomandatuowych. Mieliliśmy uwalniać energie Polaków. Ale jak się okazało, tylko mieliśmy. Ja wiem, że wszystkiego zrobić się nie da, ale za dużo było tego „mieliśmy”. Poza tym, uważam, że PO stała się partią wodzowską a więc niedemokratyczną. Pewnie nie aż w takim stopniu jak PiS

ale jednak. A jeśli tak, to każdy powinien zadać sobie pytanie, czy jakikolwiek kraj może być demokratycznie rządzony, skoro rządzi nim partia, która sama jest zarządzana w sposób niedemokratyczny.

- Od dłuższego czasu sympatie polityczne kierujesz w stronę obywatelskich i niezależnych inicjatyw. Angażowałeś się w ruch Pawła Kukiza, wspierasz Bezpartyjnych Samorządowców, w ostatnich wyborach głosowałeś na Szymona Hołownię. To kwestia niesmaku jaki pozostał po Platformie, czy raczej wybór pozytywny?

- Myślę, że głównie dlatego, że widzę czym stały się w Polsce partie polityczne. Wszystkie bez wyjątku. To wyjątkowo, moim zdaniem, twory antydemokratyczne, które zawłaszczają państwo. Nie dość, że są finansowane przez państwo, czyli przez nas-podatników, to jeszcze przejmują całe obszary gospodarki, traktując państwo jako wyborczy łup. Również stamtąd czerpią nieuzasadnione korzyści. Kraj staje się własnością partyjnych szefów i to oni decydują o wszystkim uznając, że to oni i tylko oni mają rację i w związku z tym, powinni mieć monopol na władzę. Tymczasem tak nie jest. W starożytnych Atenach – oczywiście demokracji – wymyślono mechanizm zabezpieczający demokrację przed absolutystycznymi ciągami. To się nazywało sądem skorupkowym (z grecka ostracyzmem, dziś tego słowa używa się w zupełnie innym kontekście). Ateńczycy w głosowaniu wskazywali osobę, która ich zdaniem zagraża demokracji. Ktoś, kto uzyskał największą liczbę głosów był wypędzany z Aten na dziesięć lat. A my nie możemy odwołać w głosowaniu żadnego posła czy senatora a nawet radnego choćby nawet okazał się największym łobuzem. Tu warto przypomnieć akcję 4 razy TAK, a więc między innymi zniesieni immunitetu i wprowadzenie okręgów jednomandatuowych. Kolejne mieliśmy.

- Prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski powiedział niedawno: - Jeżeli ktokolwiek narzeka na partię polityczną, to mam jedną odpowiedź: zapisujcie się masowo i zmieniajcie partie polityczne, żeby były bardziej otwarte, demokratyczne, uśmiechnięte.

- Szczerze mówiąc moja pierwsza reakcja była taka jakbym przeżywał swojego rodzaju déjà vu. Pamiętam w latach siedemdziesiątych, kiedy mieszkalem w akademiku na Kickiego w Warszawie, usunięto z akademika czterech studentów za działalność opozycyjną (oficjalnym powodem było zakłócanie porządku publicznego). Władze chciały to zrobić rękami studentów. Zwołano zebranie mieszkańców akademika i okazało się, że zdecydowana większość była przeciw ich wyrzuceniu z akademika. Dyskusja była naprawdę ostra. Powszecchnie krytykowano wtedy jedynie słuszną partię a jeden z jej obrońców, także student (później chyba nawet był w KC) na krytykę ówczesnej przewodniej siły narodu mówił, że jeżeli uważamy, że partia jest taka zła to wступujemy do niej i zmieniamy ją od środka. Bzdury, typowo partyjniackie myślenie. Do wszystkich partii w Polsce należy mniej niż 2% społeczeństwa. Naprawdę poza partiami jest bardzo dużo miejsca na przeróżną działalność. Trzeba im tylko zapewnić takie same warunki jakie zapewniły sobie partie.

- Czy przez pryzmat swoich partyjnych doświadczeń jesteś w stanie zdefiniować zespół przypadłości charakterystycznych dla wszystkich polskich partii politycznych po 1989 roku?

- System wyborczy jaki nam partie zafundowały nie sprzyja ich demokratyzacji, a wręcz utrwała ich wodzowskie charakter. Jest wódz i wokół niego dwór. Jeśli jakaś partia już się tak zgra, to na jej miejsce powstaje nowa albo raczej stara się przepoczwarza w „nową”. Ale wodzowie pozostają. Zwróć uwagę na fakt, że od 1989 nie ma w Polsce już ani jednej partii politycznej, które wtedy istniały. Wodzowie jednak ciagle są ci sami. Kto rządzi dziś sejmem? Ci sami ludzie co wtedy. Te same twarze, już podstarzałe ale ciągle te same. PZPR-SDRP-SLD, PC-AWS-PiS, KLD-UW-PO itd. itp. A jeśli pojawi się coś nowego, nieważne z której strony sceny politycznej, jest skutecznie - jak do tej pory - „flekowane” solidarnie przez wszystkich. Zwróć uwagę na to co stało się z Samoobroną, Ruchem Palikota, Nowoczesną czy ostatnio z Wiosną. Nie wdając się w dyskusję na temat wartości jakie te formacje prezentowały, wszystkie były jednak tworzone przez ludzi, którzy wcześniej z polityką nie mieli wiele wspólnego. To samo dziś dzieje się wokół Szymona Hołowni. Kiedy okazało się, że jest w stanie wejść do drugiej tury, PiS zgodził się na wymianę kandydata PO. Zwolennicy Hołowni zostali okrzyknięci „żółtą zarazą” a sam Hołownia był beczelny kandydując na urząd prezydenta. Dziś Hołownię oskarża się o przegraną Trzaskowskiego, a jeśli wierzyć sondażom to w drugiej turze na A. Dudę głosowało 51,5% wyborców Bosaka, 23,3% Kosiniaka-Kamysza, 15,8% Biedronia i tylko 14,5% Hołowni. Starzy parlamentarni wyjadacze cały czas dbają o swoje poletko, zagospodarowane na początku lat 90-tych. Tak jest w parlamencie tak jest w partyjnych strukturach. Kiedyś w prywatnej rozmowie, kiedy rządziła w Polsce PO, Stefan Niesiołowski powiedział mi, że musimy dbać o PiS, bo wiemy kto to jest, a jak powstanie coś nowego, to nie będziemy wiedzieli z kim mamy do czynienia. Czy coś się zmieniło? W samych partiach jest dokładnie tak samo, każdy pilnuje, by mu pod nosem nie wyrosła konkurencja.

- Z drugiej strony, poza partiami politycznymi, w życiu publicznym funkcjonują ruchy miejskie, społecznicze, bezpartyjni samorządowcy i różnego rodzaju aktywiści. Z jakiego powodu ci ludzie urządzają swoje życie publiczne poza partiami politycznymi.

- To prawda. Tak się dzieje w samorządach i to raczej w samorządach niższego szczebla. W sejmikach o to jest dużo trudniej. Im „dalej” od wyborcy tym o to trudniej choć nie jest to niemożliwe. Gminy i powiaty są dziś ostoją ruchów obywatelskich. Nawet w wielkich miastach takie ruchy mają swoje znaczenie. Oczywiście dalsza polaryzacja i umacnianie się obecnego duopolu partyjnego nie sprzyja rozwijaniu się ruchów obywatelskich.

- W ostatnich wyborach do Senatu obserwowaliśmy ciekawą tendencję. Bardzo dobre wyniki osiągnęli kandydaci spoza frontu walki PiS – AntyPiS. Analizując choćby częstochowski rynek polityczny, w mieście kandydat Koalicji Bezpartyjni i Samorządowcy uzyskał ponad 17% poparcia, a w regionie dwaj niezależni kandydaci zebrali blisko 19%.

- Nieustannie widać próby przebicia się przez ten zabetonowany układ partyjny przez ludzi spoza głównego nurtu. Czasem to się udaje. W senacie jest formalnie czterech senatorów niezależnych. To niewielu ale już coś. Ordynacja wyborcza do senatu a więc wybory w okręgach jednomandatowych temu zjawisku sprzyja. Póki co jednak ta tendencja jest skutecznie hamowana przez rosnącą polaryzację między PiS a anty-PiS. Jestem przekonany, że ten podział jest podsycany celowo, by nie dopuścić do polityki nowych ludzi, nie związanych partyjną dyscypliną. W gminach i powiatach, gdzie swoich radnych znamy bezpośrednio a więc bardziej liczy się nazwisko a nie szyld partyjny to procesy udają się zdecydowanie częściej.

- Partie polityczne są istotą systemów demokratycznych. Mam wrażenie, że w obecnej sytuacji w Polsce zniechęcenie do dwóch największych partii politycznych w mniejszym stopniu wynika z braku akceptacji ich programu, a z powodu jałowych i drugorzędnych sporów politycznych. Czy to jest tak, że ten elektorat trzeciego wyboru spoza nurtu PiS – AntyPiS uważa, że poza zepsutym duopolem są ludzie, którzy lepiej poprowadzą polskie sprawy?

- Myślę podobnie. Wiele sporów jest sztucznie wyolbrzymianych i podsycanych. To sprzyja rosnącym podziałom i wielu wyborców uważa, że głosowanie na kogoś spoza obecnego układu jest marnowaniem głosu. Ta teza jest skutecznie lansowana przez polityków i media, które w dużej części stały się także stroną walki politycznej. To bardzo niedobrze. Przecież nie jest tak, że kto nie jest z nami jest przeciwko nam. Możemy a nawet powinniśmy się różnić. Każdy z nas jest przecież oddzielnym bytem, ale to nie oznacza, że musimy być wrogami.

- Kiedy Polacy już uwierzą bezpartyjnym ruchom, to na przeszkodzie stanie ordynacja wyborcza, brak pieniędzy na kampanię, brak zaplecza medialnego... Próg wejścia na rynek ruchów obywatelskich jest bardzo wysoki. Czyli co, mission impossible?

- Kiedy w latach osiemdziesiątych zaczynałem swoją pracę zawodową, wiele razy dyskutowaliśmy z moim ówczesnym szefem o realnym socjalizmie w jakim przyszło nam żyć. Na końcu każdej takiej dyskusji obaj dochodziliśmy do wniosku, że delikatnie mówiąc otaczająca nas rzeczywistość jest do niczego. Żeby to jednak zmienić musi upaść ZSRR, ale żeby ZSRR upadł musi być wojna a tej lepiej, żeby nie było. I co? Dziś nie ma ani ZSRR, ani Armii Czerwonej w Polsce i nie ma też realnego socjalizmu. A wojny jednak, na całe szczęście, nie było. Nie ma więc rzeczy niemożliwych. Samo jednak nic się nie robi. Nikt tego też nie robi za nas. Trzeba więc drażyć tę skalę. Kiedyś te kamienie runą jak śpiewała Krystyna Prońko. Przed nami sporo pracy. Ludzom trzeba tłumaczyć o co w tym wszystkim chodzi. Mamy fatalną ordynację wyborczą niezgodną zresztą z konstytucją. Konstytucja mówi, że wybory do sejmu są równe i proporcjonalne. A gdzie ta równość, skoro partie polityczne mają ogromne przywileje? A gdzie ta równość, skoro w jednym okręgu wyborczym wybiera się 20 posłów a w innym tylko siedmiu? A gdzie ta proporcjonalność skoro są progi wyborcze faworyzujące duże ugrupowania i skutecznie blokujące mniejsze ugrupowania?

- ...ale zanim zderzymy się z problemem wysokiego progu wejścia na rynek polityczny, trzeba skutecznie przeprowadzić proces konsolidowania środowisk bezpartyjnych. I tu wystąpią takie problemy jak:

- Głównie to ordynacja wyborcza, która skutecznie blokuje dostęp do ław poselskich mniejszym organizacjom nie mówiąc już o osobach indywidualnych. Wymagana ogromna liczba podpisów poparcia, obecnie już tylko pustych list wyborczych, bez żadnych nazwisk, za to z nazwiskami, adresem i peselem popierających (a gdzie ustawa o ochronie danych osobowych). Finasowanie z budżetu tylko partii politycznych a stowarzyszeń już nie. Czasem też niechęć różnego rodzaju społeczników, samorządowców do tzw. wielkiej polityki. Ja od zawsze twierdząc, że polityka jest dokładnie taka, jacy są ludzie, którzy ją uprawiają. Zawsze możemy wybrać lepszych albo i same-mu stanąć w szranki. Do tego trzeba się jednak zjednoczyć, bo tylko wtedy można stworzyć realną siłę.

- Przyjmijmy, że mamy już za sobą proces konsolidacji środowiska, udało się przeskoczyć próg wejścia na rynek. Zostaje jeszcze przekonanie wyborców. Dlaczego, albo inaczej, kiedy „Bezpartyjni” mogą być dla wyborców atrakcyjni? Dlaczego Polacy mieliby uwierzyć, że obywatelski, bezpartyjny ruch mógłby lepiej pokierować sprawami naszego kraju?

- Przede wszystkim powinniśmy przestać być anty. Anty-pisem czy anty-platformą. Powinniśmy pokazać, że można się różnić ale razem iść wybraną drogą, bo przecież nie musimy zgadzać się we wszystkim. Wystarczy, że znajdziemy takie rzeczy, które nas łączą i które możemy realizować razem. Szanujmy naszą różnorodność i czerpmy z niej korzyści. Dwie rzeczy, w moim przekonaniu, powinny być jednak podstawowe. Realne uspołecznienie polityki poprzez wprowadzenie okręgów jednomandatowych oraz realne poddanie się osądowi społecznemu w każdej chwili, poprzez zniesienie immunitetu i możliwość odwołania posła czy radnego w drodze referendum. To byłoby z korzyścią także dla samych partii politycznych, bo z pewnością wpłynęłoby na ich demokratyzację.

- Wierzysz, że uformuje się merytoryczna i skuteczna alternatywa dla politycznego duopolu niszczącego, w mojej opinii, życie publiczne w naszym kraju?

- Wierzę, że tak. To jednak wymaga czasu. Przede wszystkim musimy nauczyć się samodzielnie myśleć. Nie możemy czekać aż ktoś za nas cokolwiek zrobi. Nauczni jesteśmy, przynajmniej spora część mojego pokolenia, że za nas decyduje państwo. To jest dość wygodne, bo uwalnia nas od odpowiedzialności za nas samych. Zawsze też znajdziemy alibi i winnego naszych niepowodzeń. Tak zostaliśmy wychowani. Te przekonania część z nas przekazało młodszemu ale coraz częściej dochodzi do głosu młode pokolenie wychowane już w duchu wolności i konkurencji. Zmiany pokoleniowe są nieuniknione. Jeśli nie wyborcy to natura je wymusi. A ponieważ nie wiemy, czy nowi nie okażą się większymi cynikami od współcześnie rządzących niezbędne są bezpieczniki demokracji, swoiste sądy skorupkowe, o których mówiłem wcześniej.

Niezwykła historia zdeterminowanej matki i dzielnego chłopca

Z Żanetą Dąbrowską obecnie przebywającą w USA wraz z Synem rozmawiał rzecznik MWS – Dominik Łęzak



Początki choroby i zbiórka pieniędzy na operację w USA

Krystian ma obecnie 12 lat i od urodzenia zmagają się z bardzo nietypową chorobą jaką jest **polineuropatia dziedziczna czuciowo autonomiczna**, czyli wrodzona niewrażliwość na ból z anhidrozą (zespół CIPA). Jest to **jedyny przypadek w Polsce**, a na świecie jest zdiagnozowanych tylko kilka osób. Choroba jest jeszcze nieznana lekarzom i stąd nieprzewidywalna. U Krystiana doprowadziła do zniszczenia kości, czego skutkiem był rozpad kolana.

Szukałam pomocy we wszystkich najlepszych klinikach ortopedycznych nie tylko w Polsce.

Lecąc do kliniki w Aschau w Niemczech gdzie również nie dano nam dużej nadziei, usłyszałam o doktorze Davidzie Feldmanie z USA. Po powrocie natychmiast skontaktowałam się z kliniką w Stanach Zjednoczonych i umówiłam na konsultację. Miałam to szczęście, że lekarz przyleciał do Polski. W dniu 17.02.2020 r. spotkaliśmy się z doktorem Feldmanem. Był to wyjątkowy dla mnie dzień, usłyszałam, że **jest szansa by uratować nóżkę mojego syna**. Powiedział również, że czasu mamy bardzo mało i należy zrobić to jak najszybciej, najlepiej do maja 2020 r.

Od tego dnia zaczęła się dramatyczna walka, aby móc uzbierać niezbędną kwotę na operację za oceanem. Kwota **500 000 zł** była dla mnie ogromna, nie wiedziałam od czego zacząć. Nigdy nie byłam w takiej sytuacji, nigdy nikogo nie prosiłam o pomoc. Zawsze starałam się sama stawić czoła przeciwności losu. Ale nie tym razem, wiedziałam że bez pomocy nie dam rady. Usiadłam przed komputerem i szukałam fundacji która mogłaby pomóc. Uruchomiłam zbiórkę na **siepomaga.pl**. Ponadto pisałam do gazet, aktorów, celebrytów, mediów - prosiąc o pomoc.

Niestety w tym czasie nastąpiła **pandemia**. Nikt nie wiedział co będzie jutro, jak długo pozostaniemy w domach, czy będzie praca jak groźny jest wirus. W mojej głowie jednak była tylko myśl jak opłacić operację i dostać się do USA, by uratować nogę syna. Jestem ogromnie wdzięczna wszystkim tym, którzy stanęli na mej drodze w tym wyjątkowym czasie. Są to **ANIOŁY**, bo inaczej nie umie nazwać ludzi, którzy mimo swojej trudnej sytuacji pomogli nam. **Pragnę podziękować Kolegom i Koleżankom z MWS oraz redakcji Gazety Samorządność za**

wsparcie i nagłośnienie naszego apelu o pomoc. Dzięki szczodrości wielu osób, udało nam się zebrać ponad 50% kwoty, czyli 270 000 zł, a resztą pokryliśmy sprzedając własny majątek.

Podróż do USA z nadzieją

Pandemia jednak nie tylko utrudniła zbiórkę pieniędzy, ale też zamknęła granice i wstrzymała loty. **Nasza determinacja była coraz większa**. My już wiedzieliśmy że choćbyśmy mieli sprzedać wszystko co mamy musimy tam lecieć. W lipcu przywrócono loty i wyznaczono termin operacji 04.08.2020 r.

Miałam bardzo mało czasu na dokonanie niezbędnych formalności (wiza, pozwolenie na lot z do USA, bilety, noclegi itd.), a przepisy z dnia na dzień ulegały zmianie. Przypadek, że nie raz czułam ogromną bezsilność i niejedną łza z tego powodu popłynęła. Na szczęście udało się w dniu 22.07.2020 r. z lotniska Okęcie w Warszawie **rozpocząć lot po lepsze jutro**. Po prawie 10 godzinach lotu wylądowaliśmy w Chicago. Krystian był bardzo spokojny, prawie cały lot przespał. Następnego dnia z Chicago ruszyliśmy do West Palm Beach w stanie Floryda. Pierwsze dni były trudne, m.in. zmiana czasu i klimatu. Krystian nie wychodził na zewnątrz, gdyż wysoka temperatura jest dla niego utrapieniem, bowiem **jego ciało nie oddaje potu i bardzo szybko się przegrzewa**. Bez klimatyzacji nie byłby w stanie tu funkcjonować.

Operacja i rehabilitacja Krystiana

W dniu 28.07.2020 r. odbyły się pierwsze badania oraz tomograf. Następnego dnia Krystian miał wykonane zdjęcia rąk nóg. Kolejnego dnia odbyła się konsultacja

przedoperacyjna z doktorem Feldmanem, na której Pan doktor poinformował nas, że z przyczyn niezależnych od kliniki (materiał do przeszczepu nie dotrze na czas) operacja musi zostać przesunięta o tydzień. Ten tydzień bardzo się dłużył. W końcu 11.08.2020 r. nastąpił ten wyczekiwany przez nas dzień. O godzinie 7.00 zgłosiliśmy się do kliniki. Po kilku godzinach przygotowań, ostatecznych rozmów z anestezjologami o 11.30, trzymając jego dłoń, mogłam tylko odprowadzić do drzwi bloku operacyjnego, uściskać i dać buziaka. **Oboje bardzo się baliśmy, w sercu moim ogromny ból, a w oczach łzy**. W takich chwilach brakuje bliskich, rodziny. Daleko od domu, zdani tylko na siebie. **Nie była to pierwsza operacja Krystiana, miał ich wiele od pierwszych miesięcy życia, ale za każdym razem strach jest jeszcze potężniejszy**, minuty trwają wiecznie. Przypominał mi się zegar na który patrzyłam podczas porodu, odmierzając również czas przyjścia na świat Krystiana w ogromnych bólach.

Pod szpitalem siedziałam na ławce, praktycznie nie ruszając się z niej. Po prawie sześciu godzinach Pani koordynator poprosiła mnie na rozmowę. Dr Feldman poinformował mnie że choroba doprowadziła do pękania kości. Zgodnie z planem wykonano przeszczep allogeniczny, uniesienie półksiężyca piszczelowego, wprowadzono na swoje miejsce kość piszczelową, usunięto 8-Plate. Trzeba było wykonać jednak dodatkowo wprowadzenie trzech „drułów”, które za 6 tygodni będą usunięte. **Kolejna operacja, która oznacza kolejne cierpienie mojego dziecka**. Z całej siły jednak wierzymy że to zbliża go do sprawności. W szpitalu spędziliśmy jeszcze dwa dni. Teraz jesteśmy w mieszkaniu,

które wynajęliśmy na czas pobytu w USA. Krystian z każdym dniem nabiera więcej siły, wraca pozytywna energia i uśmiech. Pozostało nam teraz oczekiwanie kolejnej operacji, mam nadzieję, że ostatniej operacji w życiu mojego dziecka. Los Krystiana nie oszczędzał, mimo swojego wieku przeszedł bardzo wiele, walcząc o swoje zdrowie nie godząc się z chorobą. Po operacji czeka Krystiana jeszcze długa rehabilitacja. Dla mnie **Krystian to największy wojownik**, On nigdy się nie poddaje, nie narzeka, nigdy nie zapytał czemu to jego spotyka mimo, iż widzę jak mu przykro gdy inne dzieci się beztrudnie bawiły, a on nigdy nie mógł. **Dzięki Krystianowi to ja mam siłę walczyć i stawiać kolejne kroki do przodu**. W takich trudnych momentach rodzic jest w stanie zrobić dla dziecka więcej niż by się tego po sobie spodziewał. Dziecko to największy dar, jaki otrzymujemy w życiu. Trzeba walczyć i wierzyć w to, że dziecko będzie zdrowe i absolutnie nigdy się nie poddawać!

Mazowiecka Wspólnota Samorządowa wyraża podziw dla Krystiana i Jego Mamy za walkę, którą podejmują każdego dnia oraz dziękuje wszystkim osobom, które w sposób materialny bądź niematerialny wspierali, wspierają i będą dalej wspierać Naszych Bohaterów. Czekamy na Was w Polsce i trzymamy bardzo mocno kciuki!!!

Zachęcamy do wpłat:

<https://www.siepomaga.pl/nogi-krystiana>
lub na indywidualne konto na potrzeby Krystiana
Krystian Dąbrowski
Bank PKO BP 83 1020 3974 0000
5802 0326 4017

Branża e-commerce należy do najdynamiczniej rozwijających się w Polsce sektorów gospodarki. Według prognoz firmy Gemius, wartość zakupów online w tym roku ma przekroczyć 60 mld złotych. W sieci kupuje już 56 proc. internautów, czyli ok. 15 mln Polaków. Tyle statystyk.

Trzeba natomiast zadać pytanie, co dokładnie oznacza modne dziś pojęcie e-commerce i kiedy mamy z nim do czynienia. Wbrew potocznemu pogładowi, nie oznacza ono całości zjawisk związanych z biznesem w internecie, gdyż określa jedynie handel elektroniczny. Jego polskim odpowiednikiem jest słowo e-handel opisujące wiele form zakupów dokonywanych w sieci. Na branżę e-commerce składają się platformy handlowe i streamingowe, sklepy wirtualne, portale informacyjne, a nawet małe blogi, oferujące internautom przeróżne towary i usługi.

Zaczęło się od Allegro

Zakupy online wynalazł w 1979 roku brytyjski przedsiębiorca Michael Aldrich, człowiek bardzo zasłużony na rynku innowacji IT (w 1980 roku wynalazł Teleputer, wielofunkcyjne domowe centrum informacyjno-rozrywkowe, które było połączeniem technologii sieci komputerowych, telewizyjnych i telekomunikacyjnych). Natomiast samo słowo e-commerce weszło do powszechnego użytku w 1997 roku za pośrednictwem firmy IBM.

Rewolucję e-commerce zapoczątkowała w Polsce stworzona w 1999 roku przez Arjana Bakkerę platforma Allegro.pl do wystawiania towarów na sprzedaż. Pierwotnie powstała z myślą o kolek-

O zakupach w internecie. Siła i zalety branży e-commerce

cjonerach, stąd jej opcja licytowania towarów, z czasem wiele małych i dużych firm zaczęło na niej oferować swoje towary. O rozwoju transakcji handlowych na Allegro świadczy opcja „kup teraz”, która dziś jest o wiele popularniejsza od licytacyjnej. Allegro zdobyło wiarygodność dzięki możliwości oceniania i komentowania przez użytkowników jakości dokonywanych zakupów, na jego popularność wpłynęły ponadto niższe ceny towarów niż w tradycyjnych sklepach oraz ich szeroki wachlarz, od książek po unikatowe stare meble. Innymi pionierami sprzedaży w polskiej sieci były duże firmy Empik i Merlin, z czasem dołączyły do nich wiele innych platform, takich jak Ceneo, O!X i Zalando, a nawet hipermarkety. Rozwój branży e-commerce wpłynął na zmianę tradycyjnego handlu. Wzrost sprzedaży książek w sieci był jedną z przyczyn upadku wielu stacjonarnych księgarni.

Różne formy e-commerce

Kupowanie w sieci jest dosyć złożonym zjawiskiem. Można zaobserwować transakcje bezpośrednie, czyli kompleksowe, polegające na całkowitym zakupie i odbiorze towaru w sieci. Dotyczy to e-booków, ściągania plików muzycznych, płat-

nego dostępu do bazy tekstów. O transakcjach pośrednich mówimy wtedy, gdy poszukiwaniu towarów, usług, nowych kontrahentów, przesyłanie dokumentów i płatności odbywa się przez internet, zaś dostawa zamówionego towaru lub usługi odbywa się bezpośrednio, w tradycyjny sposób. Zaś forma hybrydowa łączy dwie poprzednie i polega na tym, że wszystkie czynności dokonywane są w sieci z wyjątkiem płatności.

Transakcje z różnymi partnerami

Podziału sfery e-commerce można też dokonywać ze względu na rodzaj stron uczestniczących w transakcjach. Pod następującymi skrótami ukrywają się określone formy sprzedaży:

B2B (ang. business to business) polega na wymianie handlowej między przedsiębiorstwami: ich kontakty dotyczą nie tylko zawierania transakcji, ale również poszukiwania partnerów, budowania sieci dostawców i odbiorców itd. Rozwijają się zarówno wertykalnie (w obrębie jednej branży), jak i horyzontalnie (dotyczy wielu branż i często niezwiązanych z produkcją dóbr).

B2C (ang. business to consumer) zachodzi wtedy, gdy przedsiębiorca sprzedaje towar konsumentom.

C2C (consumer to consumer) to handel elektroniczny wyłącznie pomiędzy konsumentami odbywający się często za pośrednictwem serwisów ogłoszeniowych czy aukcji internetowych

C2B (consumer to business) obejmuje handel internetowy pomiędzy konsumentem a firmą.

W przypadku A2C (administration to consumer) jedną ze stron transakcji jest organ administracji państwowej, drugą obywatel; tą drogą obywatel załatwia urzędowe sprawy (na przykład składa wniosek o wyrobienie paszportu).

Zalety

E-commerce nie rozwijałby się tak szybko, gdyby nie liczne jego zalety. Jeśli chodzi o przedsiębiorców, jest tańszy, gdyż oszczędzają oni na wynajmie przestrzeni handlowych i zatrudnianiu wielu pracowników. Jeśli przedsiębiorca dysponuje własną logistyką, nie jest uzależniony od podwykonawców.

W przypadku konsumentów, zakupy przez internet nie zajmują tyle czasu, co w tradycyjnych sklepach, gdyż nie trzeba udać się do sklepu czy też salonu sprzedaży, ceny są zazwyczaj niższe, bo transakcje odbywają się bez kosztownych pośredników, nawet wówczas gdy wliczymy opłaty kurierskie. O wiele szerszy asortyment towarów, także przecenionych i unikatowych na rynku, oraz możliwość porównywania cen to dodatkowe korzyści wypływające



z e-handlu. Robienie zakupów przez internet skłania też do przemyślenia swoich decyzji, tak by nie miały kompulsywnego charakteru jak podczas wizyt w galeriach handlowych. Brak możliwości przymiерzenia odzieży czy też butów jest utrudnieniem, ale i tę przeszkodę internauci pokonują przymierzając towary w sklepach albo dokładnie zapoznając się z opisami rozmiarówek danych marek. Osobną zaletą e-zakupów jest ich dyskretny charakter, co ma znaczenie przy zakupach dla dorosłych. I najważniejsza rzecz: zakupy w internecie, podobnie jak stacjonarne, nie wykluczają zwrotów w przypadku ich niezgodności z umową. Nabywcy przysługuje ponadto prawo do namysłu i związany z tym 10-dniowy, liczony od daty dostarczenia towaru okres na odstąpienie od umowy bez względu na to, czy towar ma, czy nie ma jakiejś wady.

W okresie pandemii znaczenie e-commerce przybrało jeszcze bardziej na sile. Ciesząc się z tego faktu, należy tylko wyrazić nadzieję, że nie spadną możliwości zakupowe klientów.

MPG Media - zapewniamy pełną obsługę firm w Internecie!

Usługi medyczne za granicą są drogie. Wybierając się w podróż pomyśl o ubezpieczeniu

Wyjeżdżasz na zagraniczny urlop po słońce i nowe wrażenia, a wracasz z dużym zadłużeniem, bo uległeś wypadkowi i musiałeś skorzystać z pomocy ratunkowej, lekarskiej lub szpitalnej. Jak temu zaradzić? Najlepiej wykupując ubezpieczenie turystyczne dopasowane do indywidualnych potrzeb.

Najpopularniejszą formą ubezpieczenia zdrowotnego przy wyjazdach zagranicznych jest darmowa karta EKUZ, czyli Europejska Karta Ubezpieczenia Zdrowotnego obowiązująca na obszarze 28 państw UE. Dzięki EKUZ polski turysta traktowany jest przez tamtejszą państwową służbę zdrowia jak obywatel danego kraju. Oznacza to tylko tyle, że ma zapewnioną darmową pomoc w tym zakresie, w jakim mają mieszkańcy danego państwa, jednocześnie płaci za to, za co oni muszą płacić. Obywatel Polski rozlicza się na miejscu albo rozliczają go fundusze zdrowia.

EKUZ nie obejmuje prywatnych usług opieki zdrowotnej, akcji ratunkowych (lot śmigłowca w górach może kosztować kilkanaście tysięcy złotych), kosztów transportu do kraju. Trzeba się też liczyć z tym, że zabiegi medyczne, które w Polsce są darmowe, za granicą mogą być płatne, co wynika z różnic w systemach opieki zdrowotnej. Ponadto niektóre kraje, takie jak Łotwa, ograniczają zakres refundowanych usług medycznych.

Drogie usługi medyczne

Pomoc medyczna w krajach UE co prawda nie jest droga tak jak w USA, Kanadzie i Singapurze, ale nie jest też tania, by mógł z niej skorzystać przeciętny Kowalski. Według danych z ostatnich lat za dzień pobytu w szpitalu we Włoszech należy zapłacić 1 765 PLN, w Hiszpanii - 1 605 PLN, w Grecji - 1 388 PLN, w Chorwacji - 657 PLN. Pomoc ambulatoryjna w Niemczech kosztuje 40-50 Euro, a na pięciodniowy pobyt w niemieckim szpitalu w przypadku zapalenia wyrostka należy wyłożyć kwotę 3 275 Euro. Czterodniowy pobyt w szpitalu we Włoszech i operacja złamanej kości podudzia kosztuje 7 682 Euro. Kwoty te nie wymagają komentarza.

Refundacja Narodowego Funduszu Zdrowia za niektóre zabiegi wykonane za granicą jest możliwa, ale wymaga wielu formalności i oczekiwania na decyzję NFZ-u. Z takiego rozwiązania korzystają głównie Polacy, którzy zapomnieli Europejskiej Kar-



ty Ubezpieczenia Zdrowotnego i w rezultacie ponieśli wysokie koszty usług medycznych.

Prawa do refundacji na pewno nie będą miały osoby wyjeżdżające do krajów spoza Unii Europejskiej i Europejskiego Stowarzyszenia Wolnego Handlu (tzn. Norwegii, Lichtensteinu, Islandii i Szwajcarii). W takich państwach jak Egipt lub Maroko karta EKUZ nie działa.

Pomyśl o własnym ubezpieczeniu

Mając to wszystko na uwadze warto przed wyjazdem za granicę pomyśleć o wykupie ubezpieczenia turystycznego. Dokonując jego wyboru należy zwrócić uwagę na Ogólne Warunki Ubezpieczenia oraz rodzaj sytuacji nieobjętych odszkodowaniem.

Ama Consulting ma w swojej ofercie całoroczną Kartę SIC firmy SIGNAL IDUNA do nabycia także drogą online. Karta ubezpiecza podróżujących za granicą osoby od 5 do 30 roku życia, w zależności od tego, jaki wybrali wariant (World, World Sport, World Sport Plus), od:

- * kosztów leczenia wraz z Assistance w związku z nagłym zachorowaniem lub nieszczęśliwym wypadkiem;
- * kosztów ratownictwa;
- * następstw nieszczęśliwych wypadków w tym śmierć i trwałe uszczerbek na zdrowiu;
- * odpowiedzialności cywilnej w życiu prywatnym za szkody na osobie i szkody rzeczowe;
- * odpowiedzialności cywilnej związanej z amatorskim uprawianiem sportu, wyczynowym uprawianiem sportów, uprawianiem sportów zimowych i sportów wysokiego ryzyka.

Jest to idealne rozwiązanie np. dla studentów którzy sporo podróżują i nie muszą martwić się o ubezpieczenie.

Ubezpieczeniem nie są objęte zdarzenia mające związek między innymi z: umyślnym działaniem ubezpieczonego, działaniem pod wpływem alkoholu, narkotyków lub innych środków odurzających i zaburzeniami psychicznymi.

Karta SIC obowiązuje na terenie wszystkich państw świata, z tym że w zakresie ubezpieczenia kosztów leczenia oraz odpowiedzialności cywilnej nie obowiązuje na terenie Polski oraz w USA i Kanadzie.

Ubezpieczenie w produktach Bezpieczne Podróże i w Karcie SIC World, World Sport, World Sport Plus obejmuje koszty leczenia spowodowane przez SARS-CoV-1, SARS-CoV-2 z ich mutacjami.

Dane kontaktowe:

**ul. Cypryjska 2G,
02-761 Warszawa**
Biuro otwarte pon. – pt. w godz. 9:00 -15:00
Tel.: +48 22 742 10 75 ; +48 501 778 006
Mail: kontakt.mokotow@amaconsulting.pl
www.amaconsulting.pl

Wyzwania

TO NASZA SPECJALNOŚĆ!

Kompleksowo obsłużymy twój transport z Chin.

POLFROST

AIR · ROAD · RAIL · SEA

www.polfrost.com.pl